

PRZY **DOM**
BERNARDYŃSKIEJ

Krystyna
Modrzewska

MORPOL

Lublin 1999



Krystyna Modrzewska

Krystyna Modrzewska, lekarz i antropolog, w latach 1956–1970 pracownik naukowy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, od 1971 do 1984 roku związana z Instytutem Genetyki Medycznej Uniwersytetu w Uppsali w Szwecji. Autorka wielu prac naukowych i beletrystycznych, te ostatnie pisane pod pseudonimem „Adam Struś”: *Rok w miasteczku*, *Jestem kim innym*, *Prostokąty*, *Słowa pierwsze i ostatnie*, *Gaudeamus w cyrku cieni czyli opowiadki uniwersyteckie*. W latach 1972–1988 ogłosiła kilka szkiców dotyczących okresu okupacji w pracy zbiorowej wydanej w Londynie pt. *Na tyłach Armii Krajowej*. W latach 90-tych ukazał się cykl wspomnień Krystyny Modrzewskiej, na który składają się cztery książki: *Trzy razy Lublin*, *Czas przedostatni*, *Pasjans noworoczny* oraz *Na krawędzi chaosu*. W 1999 roku na łamach wydawanych po polsku szwedzkich „Relacji” Autorka opublikowała rozważania pt. *Polskie drogi do Szwecji*. Niniejsza książka to opowieść o rodzinnym domu Krystyny Modrzewskiej znajdującym się w Lublinie przy ulicy Bernardyńskiej 9.

Opracowanie graficzne
Mikołaj Malarczyk

Redaktor
Andrzej Zdunek

Redaktor techniczny
Maria Frąckiewicz

Fotografie i stare widokówki ze zbiorów Autorki.
Zdjęcie na stronie 27 z rodzinnego albumu dr Krystyny Piechoty-Ważnej



Wydanie sponsorowane przez Przedsiębiorstwo
Budownictwa Specjalistycznego „Pate” Sp. z o.o.,
20-109 Lublin, ul. Bernardyńska 9,
tel./fax (0-81) 532 48 38, 532 30 81, 532 30 82,
<http://www.pate.lublin.pl>, e-mail: pate@pate.lublin.pl

© Copyright by **Krystyna Modrzewska**, 1999

ISBN 83-87228-37-0

Wydawnictwo „Morpol”
20-080 Lublin, Pl. Litewski 2, tel./fax (0-81) 532 80 20,
<http://www.morpol.lublin.pl>, e-mail: mikolaj@morpol.lublin.pl

Wydawnictwo „Morpol” • Lublin 1999

Wydanie pierwsze. Nakład 500 egz.
Ark. wyd. 4,0. Ark. druk. 4,5.

Druk
„Tekst” s.c., 20-344 Lublin, ul. Wspólna 19,
tel./fax (0-81) 744 02 11, 749 80 70

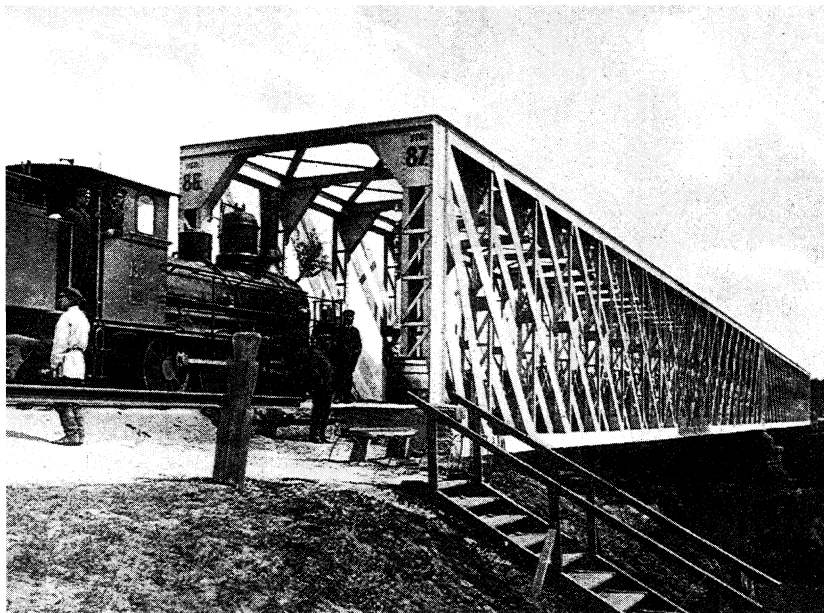
„Lublin” przed Lublinem

Zanim zamieszkałam na stałe w Lublinie, był on w mojej świadomości pojęciem złożonym, na które składało się kilka, okresowo powtarzających się elementów. Przede wszystkim więc była to podróż, ze wszystkim, co ją poprzedzało i co się z nią łączyło. Jeździło się mianowicie dwa razy w roku – w okresie świąt Bożego Narodzenia i pod koniec czerwca, na czas wakacji, do „lubelskiej babci”. Tak określano tę podróż, mimo że w Lublinie przebywał również ojciec, ponieważ jednak mieszkał u niej, jego osoba schodziła w jakiś sposób na plan dalszy. Dopiero w znacznie późniejszym wieku zrozumiałam, jak dominujące było oddziaływanie babki na całe jej otoczenie.

Już sama podróż pociągiem była ważnym przeżyciem. Poprzedzała ją ekscytacja pakowania walizek, przy czym pilnie baczyłam, aby nie została pominięta jakaś zabawka, która w danym momencie znajdowała się w moich zmiennych łaskach. Przeważnie jednak jechał ze mną drewniany Michałek, karty do „Czarnego Pietrka” i kredki, a latem – skakanka i któraś z dwu piłek. Zabierało się też książki, które miały mi być czytane, zanim sama nie poznałam tajemnicy liter i magii ich wiązania.

Nadchodził wreszcie oznaczony dzień wyjazdu. Następowало ładowanie walizek do sprowadzonej przez brata dorożki i jazda na stację, a była nią w tym czasie Warszawa Wschodnia.

Niezmiernie duże wrażenie robiła na mnie lokomotywa, ogromna, z potężnymi kołami i połyskującymi tłokami, czekająca na pasażerów, spieszących, jak i my, do któregoś z podległych jej wagonów. Z okienka lokomotywy, wysoko nade mną, wyłaniał się pan maszynista – osoba niezmiernie ważna i w moim wyobrażeniu niesłychanie silna, skoro sprawowała władzę nad lokomotywą i miała nas wszystkich zawieźć aż do Lublina. Czasem dostrzegałam poza jego plecami us-



Takim kolejowym mostem dojeżdżało się do Lublina, widokówka z lat 1910–1914

molonego palacza w podkoszulku, szuflującego węgiel, miotającego go w głąb niewidocznej, ale wyobrażanej sobie, ziejącej ogniem paszczy parowozu. Przypuszczalnie widziałam różnych maszynistów i różnych palaczy, ale wszyscy oni pozostali w mojej pamięci jednym wspólnym obrazem.

Następowało szukanie, pod przewodnictwem objuczonego tragarza, przedziału dla niepalących, z preferencją takiego z bodaj jednym miejscem przy oknie, które natychmiast bezceremonialnie okupowałam. Od czasu do czasu ściszałam w ręce moje pół biletu, które chciałam koniecznie osobiście zaprezentować panu konduktorowi.

Zanim jeszcze pociąg ruszył („...powoli, ospale...”) uwagę moją zajmowały białe emaliowane tabliczki z napisami ostrzegawczymi, które były kilkujęzyczne, ale najbardziej fascynowały mnie te w języku włoskim, które łatwo i trwale zapadały w moją pamięć. W przedziale witały mnie więc ostrzeżenia takie jak: *E vietato fumare nella carrozza*, *Non sporgersi dalla finestra* i inne, równie dźwięczne.

Ważne były też nazwy mijanych stacji, których dość szybko nauczyłam się na pamięć i oczekiwałam ich kolejnego zjawiania się jak kogoś znajomego, podczas gdy pociąg, ciężko i hałaśliwie, parł przez zmieniające się krajobrazy. Zwalniał biegu zbliżając się do każdej stacji, z godnością przystawał i mozolnie nabierał rozpędu po jej opuszczeniu. Jechałam więc tym starym nadwiślańskim szlakiem, mijając stacyjki znane tylko z imienia, albo te nieliczne, z którymi zdążyło związać się jakieś szczególne zdarzenie mojego kilkuletniego życia.

Mijało się Radość i tu budziło się na krótką chwilę wspomnienie jednodniowej wizyty u żony i córki kuzyna, spędzających tam lato. Z samych odwiedzin nie pozostało mi nic w pamięci, ani też nie odegrało ono tej roli zbliżenia nas, zakładanej być może przez kuzyna. Do albumu wspomnień wszedł natomiast sam krótki przejazd pociągiem w jego towarzystwie. Po raz pierwszy w życiu jechałam I klasą, na wybitej czerwonym pluszem kanapce, w miejsce twardych deseczek III klasy, a pan konduktor nie tylko nie zażądał biletów, ale zasalutował, co ogromnie mi zaimponowało. Zasalutował przed kimś, kto dla mnie był po prostu i zwyczajnie Mietkiem. Że był on jednym z naczelných inżynierów warszawskiej Dyrekcji PKP, nie miałam przecież pojęcia.

Do bardziej jeszcze zamierchłego dzieciństwa należały odwiedziny u stryjostwa w Falenicy. Pojechaliśmy całym kompletem rodzinnym, a ponieważ wizyta była niezapowiedziana, ugoszczono nas jajecznicą naprędce usmażoną. Łykałam ją pod znaczącym spojrzeniem matki, do której żelaznych reguł należało „zjedzenie wszystkiego, co na talerzu”. Z niemałym trudem zastosowałam się do tej reguły i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby stryjenka nie sprowokowała mnie pytaniem:

– Jak ci smakowało?

Podobno westchnęłam lekko i zdobyłam się na dyplomatyczną, w moim pojęciu, odpowiedź:

– Jak to dobrze, że nasza Florcia nie umie tego gotować...

Jajecznica była bowiem rzadka, ze snującymi się pasemkami chazy, czyli w moim pojęciu – obrzydliwa. Ojcu zabrakło w tej sytuacji jego zwykłego poczucia humoru i w drodze powrotnej wyrażał uwagi na temat braku wychowania...

Pociąg przystawał w Śródborowie, którego nazwa budziła we mnie jakieś baśniowe skojarzenia. Treść wielu bajek toczyła się przecież w borach... Tam żyły postacie z książki braci Grimm, dokonywały się rzeczy dziwne i straszne.

Potem czekała nas Pilawa, otwierająca szereg miejscowości, w których wiele lat później miały dopełniać się moje losy wojenne – Garwolin – Łaskarzew – Sobolew...

Dojeżdżało się do Dębina, a więc było już daleko od Warszawy i domu, nieodwracalnie coraz bliżej i bliżej do Lublina.

Pomiędzy postojami moją uwagę pochłaniały zmieniające się widoki za oknem, zawsze dostarczające wielu spostrzeżeń i zadziwień. Mijane pola, w swoich malowniczych kubistycznych wzorach, lasy, przelatujące ptaki, ludzie w różnych momentach pracy przydomowej lub na drogach, o których niczego przecież nie wiedziałam, więc próbowałam je odgadnąć – może do sklepu w miasteczku, które minęliśmy przed chwilą? Może przyprowadzić krowę z pola? Może do wiatraka? Może do doktora?

Dzieci, a nawet dorośli pozdrawiali pociąg przyjaznym wymachiwaniem ręką. Przyjmowałam do siebie te gesty i ochoczo odmachiwałam w odpowiedzi. Przy którejś z takich okazji wychyliłam się zbyt mocno przez wpółotwarte okno (mimo wielojęzycznych ostrzeżeń...) i podmuch wiatru zerwał mi z głowy różowy kapelusik.

Wspominając te gesty wzajemnych pozdrowień w podróży mojego dzieciństwa, myślę o tym, że przyjaźniej było wówczas pomiędzy ludźmi i jak gdyby bliżej od człowieka do człowieka. Podobnie było też wewnątrz przedziału, gdzie rozmowy zwykle nie ograniczały się do zdawkowych zdań, dyktowanych zwykłą grzecznością wspólnego podróżowania. Niekiedy wywiązywała się ogólna rozmowa, do której bywałam czasem wciągana, przypuszczalnie w formie zadawanych mi pytań, na które nie pozostawałam dłużna. Zdarzyło się nawet, że pod koniec wspólnej podróży jakaś pani podziękowała matce za **moje** towarzystwo.

Nie pamiętam, czy ojciec oczekiwał nas na stacji w Lublinie, czy też, nie rozglądając się wiele, ładowaliśmy się do dorożki (po raz drugi w tym dniu!) i drogą przez ul. Foksal, następnie pnącą się wzwyż ul. Zamojską dojeżdżaliśmy na Plac Bernardyński, w którego centrum królowała dawna wieża ciśnień, w moich oczach bardzo okazała i in-



Dawna wieża ciśnieniowa na Placu Bernardyńskim (późniejszy Plac Wolności). W głębi róg ulic Narutowicza i Pijarskiej. W latach późniejszych codzienna droga do szkoły (Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, wtedy przy ul. Kapucyńskiej nr 6), widokówka sprzed II wojny

teresująca, przywodząca na pamięć owe wieże i baszty, w których bajkowi królowie zamykali swoje nieposłuszne księżniczki. I oczywiście natychmiast jawiła się w wyobraźni Rapuncel, wieczorami wypuszczająca poza okienko wieży swoje długie złote warkocze, aby stały się drabiną dla ukochanego.

Zajeżdżaliśmy wreszcie pod dom nr 13 przy ul. Namiestnikowskiej, gdzie babka zajmowała sześciopokojowe frontowe mieszkanie na trzecim piętrze. Powitania nie były zbyt wylewne. Babka nie była skłonna do spontanicznej serdeczności, a kiedy zdobywała się na jakieś jej namiastki, wychodziło to zbyt lukrowato i trafiało w próżnię. Ponadto była przesiąknięta dymem nieustannie palonych papierosów, tak że jej pocałunki nie były mi zbyt miłe, na równi z przelotnym otarciem twarzy o drapiący policzek ojca (drapiące policzki wujów jakoś mi nie wadziły...)

Mój stosunek do ojca był zupełnie nie sprecyzowany, choć może instynktownie czułam, że należy tę rzadko widywaną osobę, która była moim ojcem, przynajmniej lubić. Jedyne bliższe kontakty z nim, jakie zachowałam w pamięci z tych najwcześniejszych pobytów w Lublinie, stanowiły moje poranne wizyty w jego łóżku, podczas których niezmiennie czytał mi historyjkę o panu Kichalskim. Czy to opowiadanie tak mnie bawiło, że wysłuchiwałam je wiele razy, czy też ojcu nie chciało się sięgnąć po inną lekturę – nie mam pojęcia. Opowiadano mi niedawno o pewnym ojcu, który przeczytał swoim dzieciom *Pana Tadeusza* w całości. Taka więc bywa, jak się okazuje, różnica między ojcami i ich wkładem, jeśli nie w intelektualny, to bodaj emocjonalny rozwój progenitury.

Osobą wzbudzającą niewątpliwą sympatię w tym domu był pan Gustaw, którego pozycji u boku mojej babki nie rozumiałam, a cieszyło mnie po prostu odnajdywanie go zawsze takim samym, przyjaznym, gotowym do dzielenia moich uczuć i psot. Nikomu tyle nie wysiadawałam na kolanach, nie wicherzyłam włosów, ani nie zdejmowałam z nosa binokli, co właśnie jemu. Pan Gustaw pozwalał mi na wszystko i czułam, że moje wymyślne psoty wokół jego osoby cieszą go nie mniej niż mnie. Nie rozumiałam przecież, że moim przywiązaniem daję temu zacnemu człowiekowi odrobinę tego, czego pozbawił go związek z moją babką – rodziny, dzieci, wnuków.

Pana Gustawa widziałam po raz ostatni w 1941 roku, idącego ul. Królewską w kolumnie mężczyzn prowadzonych do pracy przez czarno umundurowanego żołnierza SD. Wkrótce potem został zamordowany w obozie pracy w Trawnikach. Wśród przypadkowo zachowanych fotografii przedwojennych znajduje się jedna, zrobiona przez tzw. „leikarza” w 1936 roku, w okolicy Poczty. Daleko, za plecami matki i moimi, idzie pan Gustaw w rozmowie z jakimś nieznanym panem.

Do domowników należała również bezzębna Basia, totumfacka babki, była służąca na łaskawym chlebie, po kilkudziesięciu latach pracy. Przypuszczalnie pierwotnie przyjęta jako mamka do któregoś z trzech synów. Babka bowiem nie zajmowała się karmieniem swoich dzieci, czy to z powodu braku pokarmu, czy z uwagi na czasochłonność tego zajęcia, kolidującego z jej karierą kupiecką. Bardzo wcześnie musiała zdać sobie sprawę z całkowitego braku talentu kupieckiego swego małżonka. Podobno otwarcie wypominała mu: „Tylko leniuchowałbyś, albo czytał książki...” i postanowiła nie wypuszczać z rąk

steru spraw finansowych rodziny. Według opowiadań babki, mój ojciec miał kolejno jedenaście mamek, bo jako dla pierworodnego żadna widocznie nie odpowiadała wymaganiom niedoświadczonej, a kapryśnej i impetycznej młodej matki.

Basia witała nas zwykle tymi samymi okrzykami podziwu:

– Jak te dzieciaka porosły! Krysia jak różyczka! Panicz jak książę!...

Oprócz niej była służąca Anieli, która wypiekała dla mnie figurki zwierząt z okrawków ciasta. Gotowała smacznie, choć „nie jak nasza Florcia”, czemu nigdy nie dałam wyrazu, pouczona falenickim doświadczeniem.

Mieszkanie dzieliło się na część frontową, w której znajdował się gabinet lekarski ojca i poczekalnia, oraz część prywatną z wejściem od strony kuchennej klatki schodowej. Za gabinetem leżały w amfiladzie dalsze pokoje – salonik zastawiony fałszywymi „empirami”, sprowadzonymi przez babkę z Wiednia w okresie jej prosperity, skromnie umeblowany pokój Gustawa i sypialnia babki, która służyła także za jadalnię w dni powszednie. Jedynie w niedziele i dni świąteczne jadało się w rozległej i chłodnej jadalni, umeblowanej, wedle snobistycznych wymogów początków stulecia, kompletem również wiedeńskiego pochodzenia.

Podświadomie czułam obcość otoczenia i tymczasowość pobytu. Moja przestrzeń życiowa była tu ogromnie zacieśniona. W domu warszawskim, w którym się urodziłam, a moja matka przede mną, mieszkanie było nie tylko rozleglejsze, ale bardziej interesujące, stwarzające możliwości najrozmaitszych zabaw i „wyobrażeń sobie”. Było to typowe mieszkanie z drugiej połowy ubiegłego stulecia, z wysokimi pokojami o stiukowych sufitach, długimi pomrocznymi korytarzami, tajemniczą antresolą, spiżarkami, pawlaczami i zakamarkami. Swobodnie mogłam poruszać się pomiędzy znanymi od zawsze, starymi meblami, przenosić moje zabawy z jednego do drugiego pokoju. W Lublinie moja przestrzeń życiowa ograniczała się niemal wyłącznie do saloniku, gdzie trudno było rozstawić zabawki, a jeszcze trudniej rysować na „empirowym” stoliku, dodatkowo okrytym zielonym pluszem. Nie było też wygodnie sypiać na kanapce, poszerzonej dwoma przystawionymi krzesłami.

Drzwi pomiędzy salonikiem a gabinetem ojca były stale zamknięte i nie wolno mi było ich przestępować. Zdarzyło się jednak, że pew-

nego dnia mój roztargniony ojciec pozostawił te tajemnicze drzwi z lekka uchylone. Zapusiwszy „żurawia” w głąb gabinetu ujrzałam ze zgrozą mojego ulubionego Michałka, niedbale zwisającego z jakiegoś mebla. Przekroczyć progu nie śmiałam i jakiś czas, przypuszczalnie bardzo krótki, nosiłam się z moją urazą i brakiem decyzji. W końcu jednak zapytałam ojca, tonem domagającym się odpowiedzi:

– Co robi moja zabawka w twoim gabinecie?

Ojciec próbował wyjaśnić mi, że chore dziecko płakało, nie pozwalało się zbadać i aby je uspokoić... Nie czułam się usatysfakcjonowana tym tłumaczeniem i przeciwstawiłam mu własną argumentację:

– Po pierwsze – to jest moja zabawka, a po pierwsze – zabawkami się nie leczy.

Oświadczenie to weszło do skarbczyka pamięci rodzinnej.

Pewną atrakcją stanowiły różne postacie zjawiające się od strony schodów kuchennych. Tak więc dwa razy w tygodniu przychodził „człowiek” z lodem. W worku zarzuconym na plecy przynosił wielkie sześciany lodu, obsypanego drobnymi trocinami. Wstawiano je do metalowego pojemnika ówczesnej lodówki. O „człowieku” tym dowiedziałam się, przypuszczalnie od Basi, że jest lunatykiem. Domagałam się od matki wyjaśnień, a choć były one dość skąpe, a może właśnie dlatego, zrobiły na mnie duże wrażenie. Skrycie przyglądałam się „człowiekowi”, ale nie potrafiłam dopatrzeć się w nim oczekiwanej inności. Puszczając więc wodze fantazji i wyobrażałam go sobie wędrującego w nocy po dachach sąsiednich domów.

Nabiał przynosiła Włoscowa, gospodyni z okolic Świdnika, takiego jakim był on siedemdziesiąt lat temu. Przypuszczalnie nazywała się Włoscowa, ale przyzwyczajono się wymawiać nazwisko tak jak to robiła ona sama. Zaciekawiał mnie jej wiejski sposób mówienia, z którym nigdzie indziej nie miałam styczności.

Owoce przynosiła w wielkim koszu Hajusia, która dzierżawiła sad gdzieś na Rurach po-Jezuickich. Babka zamawiała u niej „aleksandry” do pieczenia i „antonówki” na wino. Jeśli babka była w domu podczas wizyt Hajusi, rozmawiała z nią po żydowsku, co było nowe i interesujące w moich uszach.

Dom, w którym mieściło się mieszkanie babki, należał do Wośkowskich i już wtedy samo mieszkanie w nim określało pewien wysoki status społeczny. W latach mojej pamięci frontową część stopniowo

rozbudowywanej kamienicy zajmowały mieszkania i gabinety lekarzy. Ze spotkań na klatce schodowej, w tych wypadkach gdy używaliśmy frontowej, pamiętam najlepiej dr. Jaczewskiego, który zawsze przystawał na chwilę rozmowy ze mną i chętnie pokazywał mi wypchanego myszołowa, który zdołał jego przedpokój. Znałam też z widzenia dr. Czerwińskiego i dr. Woškowskiego, syna gospodarzy, później znakomitego i ogólnie szanowanego lubelskiego ginekologa, dr. Jaworskiego, uchodzącego już wówczas za najlepszego lubelskiego chirurga, oraz lekarza-dentystę Piechowskiego, zięcia Woškowskich, w moich dziecięcych oczach niezwykle pięknego pana.

Babka mieszkała w domu Woškowskich kilkadziesiąt lat i była w pewnym sensie zaprzyjaźniona z gospodarzami. O panu Woškowskim mówiła z ogromnym szacunkiem, a z panią gospodynią (tak wtedy się mówiło) wymieniały rady i przepisy kulinarne oraz przesyłały sobie swoje wypieki „do posmakowania”.

Wiele było w tym domu rzeczy przykuwających moją uwagę. Bramą wjazdową, która wydawała mi się bardzo wysoka i potężna, wchodziło się na rozległe podwórze objęte jak gdyby ramionami dwóch, na początku stulecia dobudowanych oficyn. W głębi podwórza, wśród zieleni krzewów, stał dom niski, przypominający mi modrzewiowe dworki z popularnych widokówek, a może z jakichś zapamiętanych krajobrazów. Nad drzwiami królował wielki biały szylt: „Pracownia trumien, Augustyn Woškowski”.

Wiedziałam już wtedy, co to są trumny, choć nie miałam żadnego wyobrażenia o śmierci, ani się z nią jeszcze nie zetknęłam. Widywałam jednak na ulicach Warszawy karawany i orszaki żałobne i pamiętałam, że wszyscy panowie i „ludzie” kłaniali się trumnie, zdejmując kapelusze i czapki. To uczucie respektu przenosiłam teraz na kogoś, kto, w moim uproszczonym pojęciu, rządził trumnami.

Pan Woškowski, szczupły, prosto trzymający się pan w szarym kaszkiecie, często obchodził dom, gospodarskim okiem lustrując wszystkie jego zakamarki. Taki właśnie spotkał mnie, w wieku lat czterech samotnie pnącą się schodami lewej oficyny, w której mieszkała siostra babki. Znał oczywiście wszystkie lokatorskie dzieci, ale ja wydałam mu się całkowicie nieznaną. Przystanął więc i spytał:

– Czyjaś ty?

Odpowiedziałam imieniem, którym zwracano się do matki:

– Franki.

Pan Woškowski, któremu ta odpowiedź bardzo przypadła do gustu, zrelacjonował ją potem mojej rodzinie.

Ciotkę ojca odwiedzałam chętnie, z matką albo sama, i wizyty te zaliczałam do najprzyjemniejszych okazji popołudniowych. Nieodmiennie byłam częstowana ulubioną konfiturą z wiśni. Poza tym były książki do oglądania i gruby album z fotografiami, oprawny w zielony plusz i zamykany na potężną metalową klamrę. Ciotka była nauczycielką, całym sercem oddaną swemu zawodowi. Babka dość lekceważąco odnosiła się do tej swojej młodszej siostry:

– Belferka? Też mi zawód...

Babka wysoko ceniła sobie swój status kupcowej i starała się utrzymać go na należytych poziomach. Po wczesnym śniadaniu, babka, lekko upudrowana, ze świeżo ururkowanymi kruczymi niobami, ubrana wizytowo wyruszała na swoje stanowisko. Przysadzista, niezbyt zgrabna, szybkim kroczkiem, z laseczką w ręce przemierzała krótki odcinek ul. Namiestnikowskiej do rogu ul. Pijarskiej, która wąskim trotuarem prowadziła wprost do drzwi jej sklepu po przeciwnej stronie Krakowskiego Przedmieścia. Dwa duże okna wystawowe po obu stronach drzwi były miejscem zachwyków i pożądań lubelskiej dziatwy, wspominanym jeszcze w wiele lat później. Do asortymentu sklepu należały bowiem, obok materiałów do robót ręcznych, zabawki w dużym wyborze. Wystawy te, montowane przez poczciwego Gustawa, prezentowały wyjątkowe bezguście. Czegoż tam bowiem nie było?! I misie w czakach ułańskich na welocypedach i lalki przeróżnych rozmiarów i strojów, prezentujące wzory robótek krzyżykowych, i bataliony żołnierzyków ołowianych w mundurach z I wojny, zdobywające szczyty kolorowych pudełek z łamigłówkami...

Babka trafiała do sklepu chwilę po otwarciu go przez Gustawa i po zajęciu swoich stanowisk przez trójkę subiektów, jacy jej pozostali z lepszych czasów. Sadowiła się w fotelu za kasą, która w porze letniej stała tuż przy wejściu do sklepu, a z nastaniem chłódów przesuwana była w głąb lokalu. Przed kasą ustawione były dwa zgrabne taboreciki dla gości. W myśl zasady „klient nasz pan”, choleryczna wobec pracowników i bliższego otoczenia babka była przemiała dla kupujących. Miała też wśród nich zaprzyjaźnione panie, które ceniły sobie pogawędkę z nią, nawet poza zakupami. Były to panie z różnych kręgów społecznych, różnie przez nią przyjmowane i honorowane. Nie zapominała, ani nie pomijała należnych im tytułów – pani prezesowa,

pani sędzina, pani dyrektorka (w odróżnieniu od „kierowniczkii”). Znała mnóstwo osób.

Paniom z kręgów parafialnych w Lublinie i okolicy pomagała wybierać wzory na zaplanowane makaty, dywany czy bieżniki, doбираła kolory i cierpliwie uczyła je ściegów.

Jedna z pań, odwiedzających wówczas sklep babki, powiedziała mi, w ponad ćwierć wieku po jej śmierci:

– Miała pani czarującą babcię... Cóż to była za czarująca osoba!

Nie mogłam zaprzeczyć, ale pozostałam przy swoich wątpliwościach.

W sklepie babki bywaliśmy rzadko, a ona nie zachęcała nas do odwiedzin. Osobiście nie czułam się dobrze pod jej niespokojnym popatrywaniem, któremu towarzyszyły uwagi o „nie ruszaniu”. Niemniej wizyty te stanowiły dla mnie pewne urozmaicenie pobytu. Wolno mi było na przykład przejechać się welocypedem dwa lub trzy razy wzdłuż sklepu. Wolno było przymierzyć łańskie czako, albo wyciągnąć z pochwy szabelkę z napisem „Honor i Ojczyzna” i pocwałować przez chwilę na koniu na biegunach. Ale można też było, chyłkiem, odwrócić tyłem tę i ową lalkę na półce za plecami babki, w czym celował mój brat.

Babka nie uznawała jakichkolwiek prezentów, poza szczególnie uprawniającymi do tego okazjami, jak np. „gwiazdka”. Zdarzyło się jednak, że podczas jednej mojej wizyty w sklepie okazała gest i zaproponowała mi, abym sobie wybrała jedno z dwojga – wielkiego, pięknego misia, albo welocyped. Nie potrafiłam się zdecydować, co przypuszczalnie przewidziała swoim bystrym, a nieco perfidnym rozumem.

W znacznie późniejszym okresie, już w moich latach szkolnych i lubelskich, moje wizyty w sklepie stały się jeszcze bardziej sporadyczne, mimo że babka usiłowała mnie sobie zjednać, każdorazowo ofiarowując mi 50 gr. Była to w owym czasie suma, za którą można było nabyć wysmienity lukrowany obwarzanek u Chmielewskiego, albo pięć pączków u Ziemińskich. O ile pamiętam, nie miało to istotnego wpływu na częstotliwość moich odwiedzin, a kwota trafiała głównie do skarbonki. Byłam bowiem nieco bardziej oszczędna niż rozrzutna i nie dość chciwa, aby stać się przekupną.

Istniała zasadnicza różnica pomiędzy zimowymi a letnimi pobytami. Przede wszystkim te pierwsze trwały znacznie krócej i obfitowały w zdarzenia niepowседневne. We wspomnieniach łączą się z bielą śniegów, pobrzękiwaniem dzwonek u sanek, które zastępowały dożółki, a także z zapachem choinki i wyśmienitych ciast wypiekanych przez babkę. Babka, z właściwym sobie okazjonalnym gestem, polecała dozorcę przyniesienie drzewka jak najokazalszego i osadzenie go w krzyżaku. Następowало rozpakowywanie zesłorocznych ozdób oraz tych nowych, przywiezionych ze sobą. W ubieraniu choinki, które nigdy nie przebiegało bezdyskusyjnie, uczestniczyłam ochoczo, w miarę moich możliwości. W ostatniej fazie tej działalności, już po rozwieszeniu „moich” łańcuchów, umieszczało się lichtarzyki i świece i obwieszało choinkę „zimnymi” ogniami, które czasem nazywaliśmy bengalskimi. Dziś wiem, że ta ostatnia nazwa nie wywodziła się z dalekiego, tajemniczego Bengalu, lecz pochodziła z firmy „Bengal” mieszczącej się przy ul. Lubartowskiej i należącej do pana Feldmana. Wspominam go jako człowieka o wielkim sercu, który bezinteresownie pomógł wielu ludziom w najcięższym czasie. Tenże pan Feldman zaproponował mi i dał w komis kanton „zimnych ogni” przed świętami Bożego Narodzenia 1939 roku. Być może były to ostatnie zapasy z jego magazynu, a dla mnie – pierwszy okupacyjny zarobek.

Prezenty „gwiazdkowe” były raczej skromne, ale stanowiły rzeczyste niespodzianki i cieszyły właśnie jako takie.

Dzięki krótkotrwałości i specjalnemu charakterowi tych pobytów w Lublinie, nie zdążyło się odczuć ich niewygód i ograniczeń. Nie zdążyło się nawet mocniej zatęsknić za warszawskim domem, jego przytulnością i ciepłem, za tymi, którzy oczekiwali naszego powrotu i których kochaliśmy. Znacznie trudniej było przetrwać okres wakacji letnich.

Dziś sądzę, że układy rodzinne skazujące nas jako dzieci na spędzanie, rok po roku, najpiękniejszej pory lata w murach i nudzie Lublina były niewybaczalnym błędem. Obwiniam o to głównie egoizm ojca, nie wykluczone, że podsycany intrygami babki.

Naszą ucieczką i ostoją był ogród plebanii kościoła ewangelickiego, gdzie spędzaliśmy czas przedobiedni. Nasz kontakt z plebanią pochodził stąd, że moja stryjenka była córką pastora Szenajcha, a zarazem moja matka przyjaźniła się z jej młodszą siostrą, o której mówiło



Z bratem Marianem w ogrodzie plebanii kościoła ewangelickiego w Lublinie, rok 1923 i 1925, fot. ze zbiorów rodzinnych

się „Panna Oluta”. Była najmłodszą z trzech siostr; w mojej pamięci – najsympatyczniejszą, a może i najprzystojniejszą z nich. Ponieważ nie zdążyła czy nie zdołała założyć własnej rodziny zanim pastor został osamotniony, przypadła jej rola córki opiekującej się rodzicami lub jednym z nich. Oluta opiekowała się więc pastorem, gospodarstwem domowym i ogrodem, rzadko tylko mając czas na ulubione malowanie wodnymi farbami, a całkowity brak okazji do życia osobistego. Wyszła za mąż w wiele lat później, po śmierci pastora.

Jeśli mam jakiegokolwiek miłe wspomnienia z czasu moich letnich pobytów w Lublinie, zanim stał on się – bardziej na złe niż na dobre – miejscem mojego stałego zamieszkania, to pochodzą one głównie z tych godzin w ogrodzie przy plebanii.

Ogród i jego przyległości dostarczały nieograniczonych niemal możliwości zabaw, spostrzeżeń i zastanowień. Od matki i panny Oluty uczyłam się nazw kwiatów. Ale mogłam też uganiać po całym ogrodzie albo do znudzenia skakać przez skakankę po głównej, wyłożonej płytami dróżce ogrodu. Mogłam też przejść na podwórze pomiędzy plebanią a domem parafialnym i grać w klasy, albo bawić się, np. „w sklep”, z córką organisty, Genią Missol. Mogłam zapuścić się w półmrok starych kasztanów na tyłach ogrodu i podglądać życie ptaków.

Nierzadko przyciągał mnie stary cmentarz przykościelny, wtedy rozległy, rozciągający się na ogrodzonej murem przestrzeni wzdłuż ul. Ewangelickiej. Nie umiałam jeszcze sama odczytywać napisów na pomnikach, ale ktoś mi w tym raz i drugi pomógł, a resztę dopowiadała wyobraźnia. Były tam dzieci oplakujące matkę, anioły pocieszające kogoś osieroconego, atrybuty wojenne, które kojarzyły mi się z ołowianą husarią brata i *Bitwą pod Grunwaldem* w gabinecie mojego dziadka.

Pastor rzadko zjawiał się w ogrodzie i przystawał na chwilę rozmowy z matką. Czułam ogromny respekt dla jego osoby, a jednocześnie bałam się, aby mnie nie zagadnął – rozmowa z nim była o tyle trudna, że jego głuchota była w tym czasie już bardzo zaawansowana.

Do ogrodu przychodziła pani Szolc, żona znanego w Lublinie chirurga, z nieco młodszym ode mnie synem Leszkiem, ulubionym towarzyszem zabaw. Nie pamiętam już, w co bawiliśmy się, ale mnóstwo było w tym gonitw, zasadzek, strugania patyków, sporządzania

łuków. Leszek był niezwykle miłym i pogodnym chłopcem. Podobno pomiędzy nim a jego mamą odbyła się kiedyś następująca rozmowa:

– Jak tylko dorosnę, ożenię się z Krysią.

– Przecież ona jest starsza... może cię nie zechce – wyraziła wątpliwość matka. Leszek miał jednak gotową odpowiedź:

– To nic, ona mnie kocha.

Rzadziej przychodziła pani Wróblewska z synkiem Jasiem. Nie mam pojęcia, dlaczego ten chłopiec, którego nawet rysów twarzy nie zapamiętałam, wyzwał we mnie jakieś złe instynkty i wyraźnie mu dokuczałam.

Po obiedzie była godzina czytania. Początkowo czytała mi matka, a gdy posiadałam już tę sztukę – czytałam sama, głośno, dla wprawy. Pisało się też listy do domu, raz na tydzień obowiązkowo. Dopóki nie umiałam sama pisać, domagałam się, aby przynajmniej prowadzono mi rękę w podpisie. Czasem brat grał ze mną w „Czarnego Pietrka”, ale należało to do wyjątkowych łask. Szybko wracał do swoich szkolnych lektur. Cała ta nasza poobiednia działalność odbywała się w przyciszonych tonach, bo za ścianą ojciec, czasem prawie aż do kolacji, przyjmował pacjentów.

Koniec wakacji oznaczał radosny powrót do normalnego warszawskiego życia.

Dom pod nr 9

Lublin płonął wielokrotnie w czasie swojej długiej, prawie 700-letniej historii. Siedziby jego mieszkańców rozsypywały się w gruzy. Kolejne fale najazdów tatarskich, od XIII do prawie połowy XVII stulecia, pozostawiały po sobie ruiny i zgliszcza, a za sobą wlokły wyniszczające epidemie. Zaledwie miasto zaczęło, po klęsce wojsk tatarskich w 1644 roku, dźwigać się w odbudowie, już w 1655 ogarnęły je płomienie łupieskiego najazdu kozackiego, a w rok później najemne wojska szwedzkie przez wiele tygodni plądrowały i paliły domy.

Domy lubelskie płonęły również na naszych oczach, od pierwszych dni Września 1939. Coraz mniej tych, którzy zachowali w żywej pamięci ówczesne pożary miasta.

Domy, które przetrwały czas obu wielkich wojen XX wieku, były świadkami życia co najmniej trzech następujących po sobie pokoleń, w dniach ich powszednich, w pokoju i wojnie. Były świadkami zdarzeń jednostkowych, rodzinnych i społecznych, błahych i najważniejszych, radosnych i tragicznych, nigdzie nie notowanych – zdarzeń na marginesie historii.

Przerywam oto własne milczenie, aby udzielić głosu pamięci mojego milczącego domu rodzinnego.

Rzecz miała się tak, że w 1927 roku moja apodyktyczna lubelska babka nakłoniła mojego ojca do wspólnego kupna domu przy ulicy Bernardyńskiej 9, a matkę z nami przywabiła z Warszawy, nie wiem już jakimi namowami oraz wizją mieszkania gotowego do przebudowy według potrzeb rodziny i sporego przydomowego ogródka. Może zresztą pora do zjednoczenia rodziny, po siedmiu latach rozłąki, była istotnie najwyższa.

Dom miał swoją własną historię sięgającą drugiej połowy ubiegłego stulecia. W 1876 roku Karol Rejer (1830-1900), obywatel m. Lublina,



Ulica Bernardyńska w Lublinie – z lewej dom pod nr 9, widokówka sprzed I wojny

nabył go „wraz z placem” od lubelskiej „Kassy Ekonomicznej” za sumę 4187 rubli srebrnych. Nieruchomość pozostawała w jego posiadaniu ponad dwadzieścia lat. Trudności finansowe, jak można wnosić z zapisów Urzędu Hipotecznego, skłoniły Rejera, na cztery lata przed śmiercią, do sprzedaży domu. Nabyli go małżonkowie Władysław i Laura Sienicki w 1896 roku za kwotę 2350 rubli.

Sienicki (1837-1927) był od połowy 1890 roku inżynierem-architektem powiatu lubelskiego, przeniesiony z takiego samego stanowiska w powiecie zamojskim. Niezwykle aktywny zawodowo, zaprojektował wiele domów w Lublinie, zarówno użyteczności publicznej, jak i prywatnych. Jego też dziełem było założenie ogrodu na placu przynależnym do nabytej posesji, pomiędzy ogrodem parafii pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, a warsztatami i wozownią „Fabryki Powozów i Bryczek” Antoniego Dominika Zielińskiego, ówczesnie właściciela placu i zabudowań pod nr 11, które następnie przeszły na własność Ignacego Latała.



Szkoła ufundowana przez rodzinę Vetterów i nosząca jej imię, położona naprzeciwko zabudowań parafialnych kościoła po-bernardyńskiego (Bernardyńska 5). Na prawo widoczne dwa domy parterowe, które w latach po I wojnie wyrosły do trzypiętrowych kamienic czyszowych (nr 16 i 18), widokówka z lat 1906–1910

Według projektu Sienickiego wystawiono na części placu wydzielonej z ogrodu zgrabny pawilonik przeznaczony na atelier malarckie jednej z jego dwóch córek, Jadwigi. Budynek ten, z gankiem od strony podwórza i wyjściem na wysoki taras, schodami prowadzący do ogrodu, miał oszklony dach.

Marginesowo należy dodać, że Jadwiga Sienicka rozwinęła również działalność pedagogiczną i u niej to pobierała pierwsze lekcje rysunku lubelska malarka, nauczycielka rysunku wielu pokoleń i działaczka społeczna, Zofia Kwapiszewska.

Sieniccy przenieśli się około 1900 roku do willi przy ulicy Ogrodowej nr 6, a dom przy ul. Bernardyńskiej sprzedali dopiero w 1910 roku siostrze Okryńskim, Marii-Karolinie i Zofii-Kazimierze, za cenę 4000 rubli.

Niewiele wiadomo o działaniach Okryńskich jako właścicieli domu i ogrodu. Można jedynie przypuszczać, że podczas sześćiolet-

niego okresu posiadania nieruchomości dokonały przebudowy atelier, które utraciło swoje pierwotne przeznaczenie. Przepuszczenie to opieram na protokole „taksatora” powiatowego, z dnia 10 lutego 1920 roku, gdzie dawne atelier wymienione jest jako „dom murowany z werandą i gankiem, kryty blachą”. Jeśli więc Okryńskie dokonały przebudowy, to należy sądzić, że było to przed wybuchem I wojny światowej w 1914 roku.

Wnętrze przebudowano tak, że powstał duży dwuokienny pokój z kuchnią i małym korytarzykiem, a wyjście w stronę ogrodu zabito „na głucho”. Dach pokryto blachą. Całość mogła więc stać się przedmiotem wynajmu.

Na murowanym parkanie otaczającym część ogrodu pozostał jednak nikły ślad życia którejs z sióstr. Na jednej z cegieł wryto bardzo starannie jakąś w życiu widocznie ważną datę w roku 1915. Dotrwała ona do czasu II wojny.

Siostry Okryńskie sprzedały dom Stanisławowi Morszczyźnie w 1916 roku za cenę 4100 rubli.

Nowy nabywca cieszył się posiadaniem tego domu jedynie przez trzy lata i w wojennie zmiennych warunkach sprzedał go Stanisławowi Skomorowskiemu w październiku 1919 roku, za sumę 150 000 rubli. Można wnioskować, że kupno to miało na celu li tylko spekulację, gdyż już w listopadzie tegoż 1919 roku Skomorowski odsprzedał dom dr. Stanisławowi Stokowskiemu i jego małżonce Paulinie za cenę 235 000 rubli. Możliwe również, że Skomorowski, należący do rodziny piastującej wyższe stanowiska w administracji lubelskiej, był dobrze zorientowany w przemianach ekonomicznych owego przełomowego okresu.

Doktor Stokowski, przed nabyciem domu, praktykował jako lekarz ogólny, tzw. „omnibus”, w Piaskach Luterskich. Jak było w dość powszechnym zwyczaju, lekarze praktykujący przez pewien okres na prowincji, często do lat szkolnych swoich dzieci, decydowali się na przeprowadzkę do miasta.

Osiedliwszy się we własnym domu w Lublinie, dr Stokowski otworzył gabinet prywatny, wydaje mi się, że ze specjalnością ginekologiczną.

Rodzina Stokowskich mieszkała w domu przy ul. Bernardyńskiej 9 przez osiem lat. Jak można było stwierdzić przy kupnie, nie inwesto-

wano w tym okresie w żadne remonty ani ulepszenia lokalowe. Również ogród znajdował się w stanie wyraźnego zaniedbania.

Dom nabyła moja babka Rebeka *vel* Regina Mandelbaum do spółki z moim ojcem w maju 1927 roku za sumę 85 000 zł, co odpowiadało w tym czasie 5605 dolarom amerykańskim.

Doktor Stokowski przed opuszczeniem Lublina otrzymał ostrą reprimendę za oddanie nieruchomości w żydowskie ręce ze strony Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego, najprawdopodobniej w osobie jego prezesa. Był nim w tym czasie znany lekarz, czołowy działacz Narodowej Demokracji i z jej ramienia wieloletni radny m. Lublina – dr Adam K. Majewski. Drobnego nietaktu można by dopatrzeć się w tym, że doktorowa S. była pochodzenia żydowskiego.

Dom pod nr 9 znajdował się pomiędzy kościołem pobernardyńskim, a dawnym pałacem Sobieskich z XVII wieku, przy zacisznej wówczas i sennie ulicy Bernardyńskiej, w swym przebiegu prowadzącej wprost do głównej arterii miasta – Krakowskiego Przedmieścia. Dodać wypada, że ulica Bernardyńska przeżywała okresy swojej świetności w XVI wieku, gdy wiodła z pałaców Żmigrodu do centrum miasta i później, pod koniec XVIII wieku, gdy stała się początkiem traktu zamojskiego.

Od kościoła dzieliły dom tylko zabudowania parafialne, w których mieściło się również, dobrze znane ówczesnej młodzieży, kino „Gwiazda”. Natomiast pomiędzy nim a pałacem Sobieskich, w którym w latach międzywojennych było prywatne gimnazjum żeńskie Heleny Czarneckiej, mieściły się warsztaty i garaże samochodowe znanej szkoły kierowców Ludwika Zambelliego, a nieco niżej zakład budowy powozów i bryczek Wiązowskiego, należący ongiś do Antoniego D. Zielińskiego. Był tam jeszcze jakiś niewielki dom, bodajże jednopiętrowy, ze sklepem spożywczym pani Kozłowskiej, do którego czasem bywałam posyłana po drobne zakupy.

Dom stał na pochyłości, która była niejako przedłużeniem Żmigrodu. Zwrócony ku ulicy front był więc dwupiętrowy, podczas gdy obie jego oficyny miały dość wysokie trzy piętra i zwrócone były w stronę ogrodów i łąk sięgających aż po dawną aleję Jagiellońską, nazywaną później Nową Drogę, a następnie aleją Marszałka Piłsudskiego. Po II wojnie została ona nazwana aleją Gen. Świerczewskiego,

aby w końcu doczekać się ponownego przemianowania na aleję Józefa Piłsudskiego.

Z frontu mieściły się, po dwa na każdym piętrze, mieszkania wielopokojowe, a w oficynach znajdowały się ich drugie schody, tzw. kuchenne, oraz kilka jednopokojowych mieszkań na parterze i w suterrenach. Na półpiętrze, pomiędzy II a III piętrem schodów kuchennych, znajdowały się dyskretne pokoiki, nazywane „wygódkami”, a mieszczące po trzy ustępy, przez użytkowników strzeżone kłódkami. W okresie przejmowania domu nie był on mianowicie skanalizowany. Nie całkowicie był on również włączony do sieci wodociągowej, a stojąca w centralnej części wyboistego podwórza studnia żeliwna pełniła jeszcze swoje obowiązki. Na jej drewnianej obudowie siadywały lokatorki suterren i służące z pięter na wieczorne pogwarki. Nadawało to całości obrazu, tak jak go widzę dzisiaj, jakiś szczególnie charakter przedmiejskiej sielskości.

Mieszkanie, które mieliśmy zająć, wymagało gruntownego remontu i częściowej przebudowy. Przede wszystkim zostało włączone do sieci kanalizacyjnej i uzupełniono instalacje wodociągowe. Kosztem dwóch pokoi leżących w amfiladzie, wykrojono miejsce dla nieobecnych dotychczas łazienki i ubikacji. Doprowadzono również instalację gazową do łazienki i kuchni. Nadmiernie rozległą kuchnię podzielono tak, że powstał korytarzyk oddzielający ją od jadalni, z pokojem służbowym i spizarką po obu jego stronach. Położono parkiet w miejsce wielowarstwowo malowanych desek podłóg oraz tapety na ściany, po zdarciu z nich licznych warstw makulatury wszelkiego rodzaju, wylaniającej się tu i ówdzie różnym liternictwem i wypłowiałymi fragmentami jakichś dawnych wzorów.

Zainstalowano aparat telefoniczny, a jako ciekawostkę wspomnę, że w tych pierwszych latach trzydziestych jego numer był 6-54 i dopiero znacznie później zmienił się na 26-54. Jak widać, komunikacja telefoniczna nie stanowiła w tym czasie konieczności dla każdego niemal mieszkańca grodu. Rzuca to również pewne światło na aspiracje Lublina do wielkomiejskości.

W domu przy ul. Bernardyńskiej 9 zamieszkaliśmy w sierpniu 1928 roku. Miałam wówczas 9 lat. Wspominam mieszkańców tego domu, tak jak ich pamiętam, w okresie następnych jedenastu lat.

Na parterze (nr 1) mieszkała pani Orłowska z jedną z córek. Była siostrą cenionego w mieście lekarza dr. Lerkama. Odwiedzające ją wnuczęta (dzieci ówczesnego i wieloletniego prezydenta miasta – Józefa Piechoty), nieco młodsze ode mnie, towarzyszyły mi niekiedy w jakichś zabawach w ogródku. Zachowało się zdjęcie, które ktoś zrobił nam przy takiej okazji. Przy szczupłej, dziecięco dystygowanej wnuczce i malcu tulącym swoją lalkę wyglądam dość naburmuszenie. Czy i dlatego byłam naburmuszona, nie mam pojęcia, ale nie po raz pierwszy miałam podobną minę na fotografiach, może jako odruch przekory i żeby nie uśmiechać się „okazjonalnie”.

U pani Orłowskiej mieszkał jakiś czas na stacji uczeń Szkoły Lubelskiej, Papużyński, syn aptekarza z Chełma. Często wysiadywał w oknie swego pokoju i różnymi błazeństwami usiłował zwrócić na siebie uwagę dzieciarni na podwórku.

Po przeciwnej stronie mieszkali w pierwszych latach mili państwo Sawiccy, których synowie chodzili do gimnazjum Vetterów, a jeden z nich pobierał lekcje muzyki u mojej matki. Podobno młodzi Sawiccy założyli potem, na krótko przed wybuchem wojny, wytwórnię kosmetyków w Poznaniu. Po ich wyprowadzeniu się mieszkanie to zajęła pani Emilia Daczko z rodziną i założyła w nim prywatne kursy kroju i szycia. Dzieci tej rodziny były młodsze ode mnie i nie miałam z nimi bliższego kontaktu.

Na pierwszym piętrze było mieszkanie moich rodziców i tu był też gabinet lekarski ojca, ze zwykłymi godzinami przyjęć od 16 do 18-tej. Ojciec miał dość rozległą praktykę prywatną. Był internistą ze specjalizacją w zakresie neurologii, zdobytą w okresie pracy w klinice profesora Edwarda Flataua w Warszawie, bezpośrednio po I wojnie światowej. Dodam tu, że w latach trzydziestych XX wieku nie istniał jeszcze wyraźny podział pomiędzy neurologią a psychiatrią i stąd też wśród pacjentów bywali zarówno chorzy z różnymi zespołami neurologicznymi, z psychozami schizofrenicznymi czy maniakalnymi, jak i pacjenci z chorobami układów wewnętrznych.

Pamiętam wizyty niektórych stałych pacjentów. Zaliczam do nich przede wszystkim panią Kazimierę Gawarecką. Dzięki niej uratowała się znaczna część naszego księgozbioru, ukryta z jej inicjatywy w Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego już w pierwszych miesiącach okupacji.



Autorka (z prawej) z gośćmi na schodach werandą dawnego atelier, rok 1928, fot. uprzejmie udostępniona z albumu rodzinnego dr Krystyny Piechoty-Ważnej

Szczególnym pacjentem był znany lubelski archiwista i historyk Jan Riabinin, którego wizyty przENOsiły się zazwyczaj z gabinetu do przyległego salonu i przechodziły w dyskusje dalekie od porad lekarskich. W podobny sposób kończyły się wizyty profesora Jakubanisa z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Stałym pacjentem ojca był rabin z Bychawy, który między jedną a drugą wizytą pisywał długie listy, z jakichś niezrozumiałych przyczyn, w języku francuskim.

Ojciec był także niejako lekarzem nadwornym rabina Szapiry, rektora Wyższej Uczelni Talmudycznej, zwanej „Uczelnią Mędrców Lublina”.

Wtrącę tu ciekawostkę natury zawodowo-etycznej. Podczas przedłużającej się i jak miało się okazać śmiertelnej choroby rektora, jeden z młodszego pokolenia lekarzy, dr Holcberg, za czyimś pośrednictwem, zaofiarował choremu swoje usługi. Ta oferta nie została jednak przyjęta ani przez rektora ani przez jego rodzinę.

Do stałych pacjentów należała również rodzina kolonistów niemieckich z podlubelskich Płouszowic – Deutschländerów. Wymiana świadczeń była w tym wypadku do pewnego stopnia wzajemna. Deutschländerowa przez wiele lat, dwa razy w miesiącu, przywoziła matce nabiał. Po raz ostatni w drugiej połowie września 1939 r. odwiedził nas jeden z synów rodziny, już w czarnym mundurze SD (*Sonderdienst*), ale jeszcze nie wystarczająco pouczony o tym, że nie wolno mu przestępować naszego progu. Opowiedział, że grozi im wysiedlenie w nieznanym kierunku. Kilka rodzin kolonistów niemieckich z okolic Motycza już wywieziono, wśród ich gwałtownych i bezskutecznych protestów.

Głównie jednak był ojciec lekarzem ludności żydowskiej Lublina i miasteczek okolicznych, w całym jej rozwarstwieniu społecznym.

W wiele lat po śmierci ojca (w roku 1944, w Budapeszcie) spotykałam jego pacjentów, nawet w Szwecji wśród wychodźców polskich.

Wspomnienia dotyczące naszego mieszkania przy ul. Bernardyńskiej 9 nie mogą pominąć osób, które dzieliły je z nami i odgrywały ważną rolę w życiu powszednim każdego z nas. Były to służące, których stanowiska nikt wtedy inaczej nie określał, ani też nie uważał za poniżające. Dopiero późniejsze, pseudodemokratyczne czasy zażą-

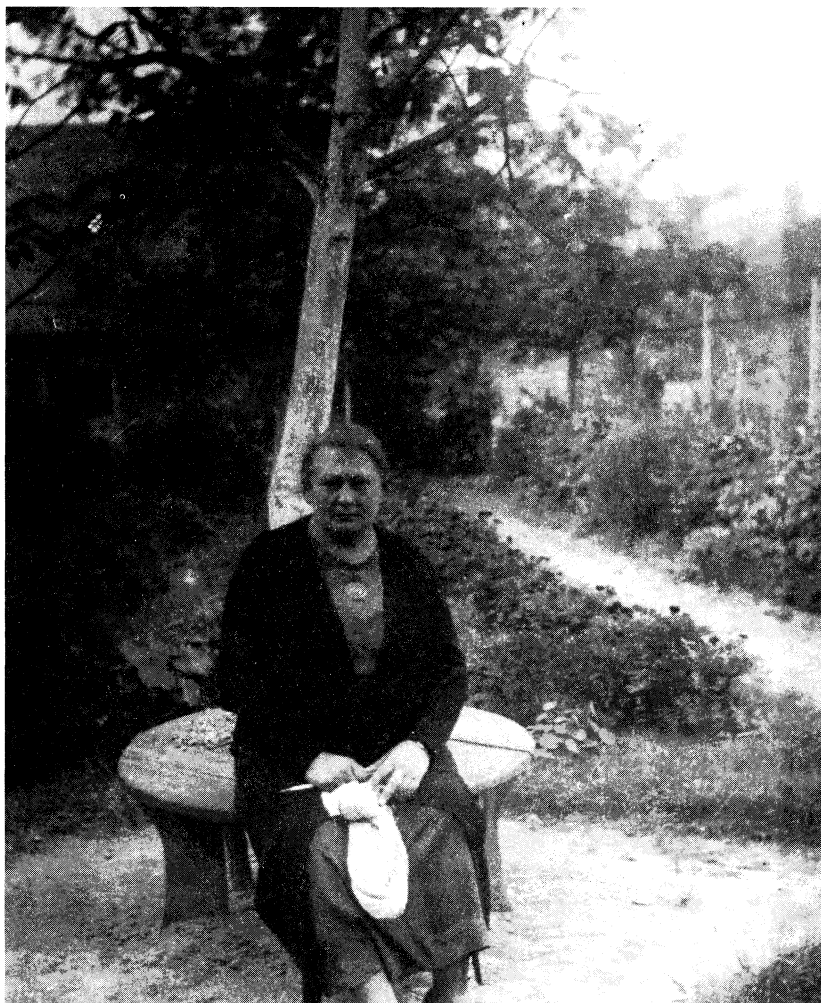
dały tytułu „pomocy domowej”, o ile dana osoba wiekiem czy kompetencjami nie kwalifikowała się na stanowisko „gosposi”.

Obowiązki służącej w naszym domu, jak to widzę i doceniam teraz, były bardzo pracochłonne. Należało do nich codzienne sprzątanie dużej powierzchni mieszkaniowej, w co wchodziło zamiatanie i froterowanie podłóg, przed erą elektroluxu i innych udogodnień gospodarstwa domowego. Przy czym podłogi w przedpokoju, poczekalni i gabinecie, zwłaszcza w okresach słotnych i zimowych, wymagały szczególnego wysiłku.

Od późnej jesieni do wczesnej wiosny paliło się rano w czterech kaflowych piecach. Przygotowanie posiłków, zwłaszcza obiadu, wymagało zwykle sporo pracy, a często uprzednich zakupów na targu. Odkąd ojciec, wiedziony hipochondrycznymi obawami o swoje zdrowie, zażądał gotowania bez soli oraz dietetycznych potraw, przyrządzanie ich stało się dodatkowym obciążeniem.

Pierwszą służącą w mieszkaniu na Bernardyńskiej była Marynia Kosior z Markuszowa, ładna i miła dziewczyna, która zaledwie po roku pracy wyszła za mąż za pomocnika murarskiego, jak dowiedzieliśmy się później, bardzo nieszczęśliwie. Następczynią jej była, polecona matce przez kogoś, kolonistka niemiecka z Cycowa, Adela Kupsch, która przez dwa czy trzy lata sprawowała nad nami surową i dobroczynną zarazem opiekę. Wolne popołudnia poświęcała lekturom barwnie opisującym rozkosze nieba i katusze piekła oraz luterskim psalmom, nuconym przy akompaniamencie mandoliny. Miała zamężną siostrę na Węgrzech, która namówiła ją do emigracji.

W następnym kilkuletnim okresie domem zajmowała się Weronika Hartman, osoba w średnim wieku, wzrosła w lubelskim środowisku robotniczym, wychowana w kołach oświatowych PPS i rozwijającego się LSS, inteligentna i czytana. Na drogę pracy w cudzych gospodarstwach domowych skazała ją trudna sytuacja materialna i społeczna, w jakiej się znalazła po zniknięciu męża. Jerzy Hartman był kolonistą niemieckim z Nadwołża, któremu udało się zbiec do Polski w niespokojnych latach porewolucyjnych. Znalazł się w Lublinie, rozpoczął pracę jako maszynista kolejowy, ożenił się i wszystko wydawało się układać pomyślnie. Jakież sprawy skłoniły go do próby ponownego przekroczenia „zielonej granicy” i Weronika nigdy go więcej nie zobaczyła. Nie wiedziano jeszcze wtedy, że ludzie łatwo „giną” w Związ-



Matka w swoim „ogródku”, zajęta robotą siatki na domowe firanki, rok 1936,
fot. ze zbiorów rodzinnych



L. H. M. W. W.

Ojciec Autorki w bzach „ogródka”, rok 1937. Dewiza jego życia lekarskiego brzmiała:
„Pacjent ma zawsze rację”, fot. ze zbiorów rodzinnych

ku Radzieckim. Czekala więc rok za rokiem, gubiła się w domysłach i przez wiele lat wierzyła, że wróci. Dopiero na krótko przed wybuchem II wojny, po długich wahaniach, zdecydowała się na przeprowadzenie sądowego uznania męża za zmarłego (czy zaginionego) i poślubiła starszego już wdowca Karola Ziemińskiego, właściciela dużego ogrodnictwa na Kalinowszczyźnie. Znaczna część najwartościowszych naszych ruchomości przechowała się przez czas okupacji u Ziemińskich.

W ostatnim przedwojennym roku pracowała w naszym gospodarstwie domowym Zofia Rusek, którą z rodzinnej Krężnicy Jarej, gdzie była zatrudniona jako pokojówka we dworze, przyciągnęły przypuszczalnie uroki miejskie Lublina.

Poza tymi osobami, stale zamieszkałymi na Bernardyńskiej, bywały jeszcze tzw. pomoce dochodzące. Do większych sprzątań przychodziła Roczunowa z Kośminka. Mój osobisty stosunek do tej kobiety, która sprawiała wrażenie jak gdyby nigdy nie była młoda, ukształtowała wiadomość, że mąż jej i sześcioro dzieci (wszystkie) zmarło na „hiszpankę”.

Do prania przychodziła Majewska, z którą dzieliłam wybiórczy gust do kapuśniaku na kielbasie.

Te wszystkie kobiety swoją pracą ułatwiały i uprzyjemniały nasze życie codzienne, jednocześnie znajdując się na pełnym jego marginesie.

Trudno mi pominąć milczeniem osobę, która przybyła do naszego domu na bardzo skromne stanowisko, a stała się z biegiem czasu kimś zaufanym, bliskim, niemal członkiem rodziny. Salomea Goldszmid, o dwa lata starsza ode mnie, po ukończeniu szkoły powszechnej poszukiwała pracy zarobkowej. Matka zaangażowała ją w charakterze „dziewczyny do drzwi” według ówczesnej terminologii. Oznaczało to, że do jej obowiązków należało otwieranie drzwi pacjentom, pilnowanie ich kolejności, przyjmowanie telefonicznych zamówień wizyt w mieszkaniach pacjentów i w pewnym zakresie sprzątanie gabinetu po godzinach przyjęć. Była punktualna, grzeczna i matka polubiła ją chyba od samego początku. Z czasem okazało się, że jest to człowiek o wyjątkowych zaletach charakteru, bezwzględnie oddany nam i lojalny we wszystkich sytuacjach. Przy czym była to lojalność zindywidualizowana, bo mimo ogromnego przywiązania do mojej matki, potrafiła

dotrzymać mi lojalności i dyskrecji w moich tajemnych sprawkach (rok był 1936) i niejednokrotnie, pocąc się ze strachu, odbierała w okienku „Poste restante” na Poczcie korespondencję do mnie, w pełni wystarczającą do... „wilczego biletu”.

Ostatni raz widziałam ją w 1941 roku z wysokości furmanki, którą jechałam z Mełgwi do Lublina. Szła brzegiem szosy, z Wólki czy Adampola, prawdopodobnie z zapasami żywności dla rodziny, czy na sprzedaż. Spotkałyśmy się tylko oczami. Na krótko po tym nowo przybyła do Lublina jednostka ukraińskich hajduków SS urządziła popisową masakrę w dzielnicy Kalinowszczyzna i wśród wielu zamordowanych znalazła się również rodzina Goldszmidów.

Naprzeciwko nas mieszkała urzędnicza rodzina Czubaszaków, a po ich wyprowadzeniu się mieszkanie zajęła z tytułu własności moja babka, z ciężkim sercem zamieniająca na nie swój apartament w domu Woškowskich (ul. Narutowicza, dawniej Namiestnikowska 13), gdzie, zaprzyjaźniona z gospodarzami, mieszkała kilkadziesiąt lat. Zmiana mieszkania była tylko pierwszym i wstępnym wyrzeczeniem, do którego zmusił babkę zarówno ogólny kryzys gospodarczy, jak i jej własne, coraz bardziej kulejące interesy, pozostające w tyle za nienasyconymi ambicjami. Kolejnym silnym ciosem w ambicje tej kobiety, dla której posiadanie i wynikająca z niego „władza” nad najbliższym otoczeniem stanowiły kwintesencję życia, była konieczność sprzedaży swojej połowy domu.

O ile dla babki utrata nieruchomości była katastrofą życiową, dla mego ojca stanowiło to wyraźną ulgę, gdyż wybawiało go od stałego dofinansowywania wątpliwych kupieckich interesów matki i spłacania jej lekkomyślnie zaciąganych długów. Moją matkę cała ta sprawa interesowała tylko o tyle, że obawiała się inwazji potencjalnych współników do ogródka, który był jej „oczkiem w głowie” i któremu poświęcała wiele starań, czasu i pracy. Wyjaśniam, że zawsze używano tego, jak gdyby pieszczotliwego eufemizmu, chociaż jak na warunki śródmiejskie ogród wcale nie był taki mały. Bądź co bądź rosły w nim i owocowały trzy jabłonie i tyleż grusz wysokich gatunków, zaczynały owocować zasadzone przez matkę wiśnia i brzoskwinia, a może nawet najpóźniejszy nabytek, orzech włoski. Ten ostatni zajął miejsce starej pięknej brzozy, której utraty wszyscyśmy żalowali. Ktoś

przekonał jednak matkę, że brzoza zasadzona kiedyś zbyt blisko frontowej ściany atelier, dodawała mu wprawdzie romantycznego uroku, ale jej rozrost korzenie uszkadzały fundamenty.

Ponadto wzdłuż całego parkanu dzielącego ogród od posesji nr 11 ciągnęły się krzaki agrestu i porzeczek. Matka mocno przerzedziła je robiąc miejsce dla kwiatów. Nasiona i bulwy kwiatów ozdobnych matka sprowadzała ze znanej warszawskiej firmy Ulrycha. Drzewka owocowe zostały zakupione w ogrodnictwie pana Lipko, położonym przy wjeździe na ulicę Głowackiego, wtedy na krańcach miasta.

Wzdłuż tego samego parkanu, całkowicie go przykrywając, rosły stare wysokopienne bzy, od połowy maja kwitnące bujną różnaitością kolorów. W moich wczesnych latach gimnazjalnych niecierpliwie wyczekiwałam ich kwitnienia, aby móc ozdabiać nimi gabinet uwielbianej przez wiele z nas nauczycielki. Wspomnę tu, że było to w owej epoce, kiedy prezenty, nawet kwietne, nie były przez nauczycieli przyjmowane. Należało więc, przy udziale niezawodnego woźnego (wspominam pana Feliksa), wkraść się przed godzinami lekcyjnymi do ciaśniutkiego pomieszczenia, dumnie zwanego „gabinetem”, aby bukiet podrzucić anonimowo.

Matka uważała ogródek za swoją cichą przystań i niechętnie widziała w nim obce osoby. O ile pamiętam, wyjątek stanowiła stara pani Ewa Zyngier, która mieszkając przy ul. Bernardyńskiej 24, poważnie już chora na serce, przychodziła czasem, aby „posiedzieć na powietrzu”. Była to osoba wielce zasłużona dla czytelnictwa wśród młodzieży, zarówno w okresie zaborów, jak i w latach międzywojennych. W swojej miniaturowej księgarni przy ul. Krakowskie Przedmieście (nr 19 lub 21) prowadziła tanią wypożyczalnię książek pisarzy polskich. Przed I wojną prowadziła również jakąś, bliżej mi nie znaną, działalność wydawniczą.

Zaangażowanie w zagospodarowanie i stałym upiększaniu tego własnego kawałka ziemi musiało mieć dla matki wielkie znaczenie, poza samymi jej zainteresowaniami przyrodniczymi i zamiłowaniem ogrodniczym. Wypełniało do pewnego stopnia pustkę powstałą po utracie warszawskiego środowiska rodzinnego i towarzyskiego. W Lublinie czuła się obco, a ojciec wszelkie spotkania towarzyskie uważał za stratę czasu, tak więc – unikano ich.

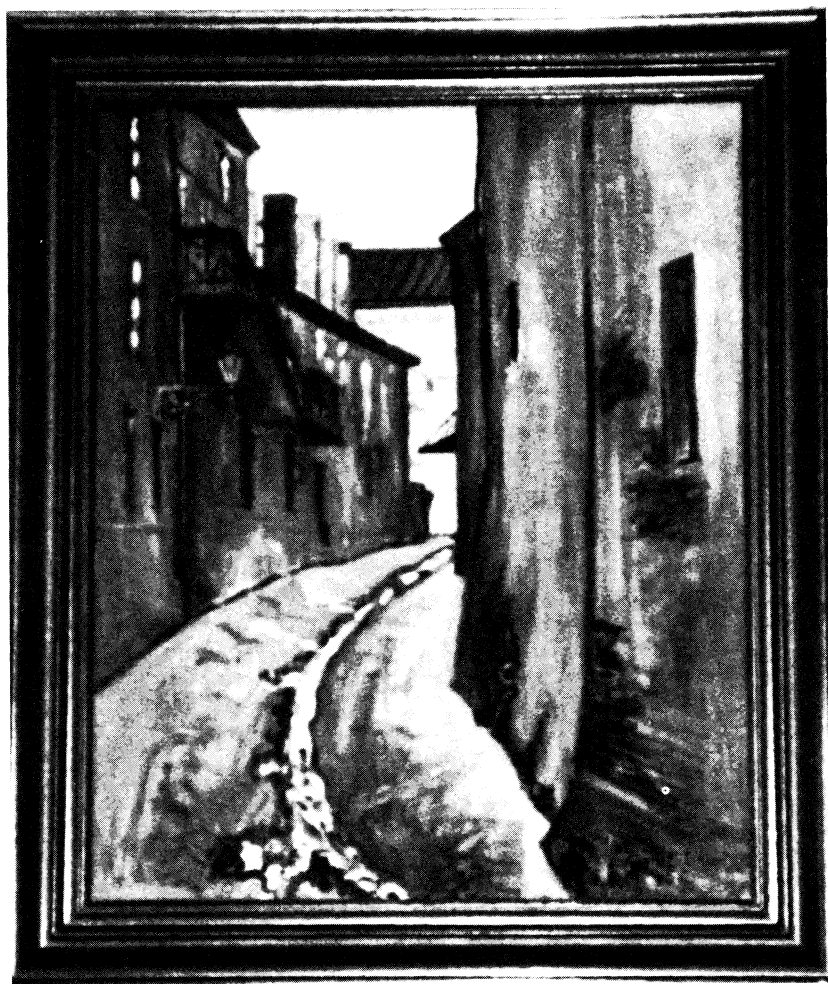
W mojej pamięci pozostało tylko jedno większe przyjęcie w naszym domu. Było to na krótko po wprowadzeniu się do domu przy ul. Bernardyńskiej. Przyjęcie to, które nazywano bankietem, poprzedziły wizyty rodziców u osób, którym należało przedstawić się „otwierając dom”. Ponieważ moja matka nigdy nie zajmowała się gospodarstwem domowym, a co dopiero na poziomie „bankietów”, wezwano na ratunek warszawską babcię, która z właściwą sobie kompetencją i energią objęła komendę nad domownikami (z wyłączeniem ojca) oraz wynajętym garmażerem. Wszyscy uczestnicy tego przyjęcia dawno już nie żyją, a ja, poza wspomnieniem, zawdzięczam owemu garmażerowi sprzed lat sztukę przygotowywania kanapek, wprawiających w zachwyt moich obecnych szwedzkich przyjaciół.

W początkowym okresie naszego życia w Lublinie matka podejmowała pewne próby stworzenia dla siebie jakiejś niszy towarzyskiej. Z jej inicjatywy powstał kwartet, który raz w tygodniu muzykował w naszym salonie. Dwie „doktorowe”, żona chirurga Rozena, zamordowanego później w Katyniu, oraz żona dermatologa i działacza społecznego Herszenhorna, grały na skrzypcach. Adwokat Bier, zmarły później na Syberii, być może z głodu – grał na wiolonczeli. Matka zasiadała do swego wysłużonego fortepianu (warszawskiej firmy J. Małecki), a batutę obejmował prof. Wierzbicki. Żywot kwartetu nie był jednak zbyt długi.

Monotonię naszego życia na Bernardyńskiej przerywały od czasu do czasu odwiedziny kogoś z rodziny matki. Najczęściej, a głównie w porze świąt i wakacji, przyjeżdżała z Warszawy siostra matki, zawsze niecierpliwie oczekiwana i wnosząca dużo serdeczności do naszego dość oschłego i zrutynizowanego domu, gdzie każdy był zajęty swoimi sprawami i zdawał się nie dostrzegać, albo dostrzegał niewystarczająco, problemy innych.

Z cicią było dobrze być. Wszystko było przyjemniejsze i ciekawsze. W ogródku, każdy ze swoją lekturą, w domu – majsterkować coś wspólnie albo grać w różne rodzaje tzw. „inteligencji”.

Ciocia, pod urokiem lubelskiego Starego Miasta, wędrowała po jego zaułkach ze swoją skrzynką malarską, sztalugą i trójnogim składanym stołkiem. Lubiałam w porze przedobiedniej „iść po cicię”, tkwiącą gdzieś w zakamarkach Rynku czy Podzamcza.



Ulica Szambelańska w Lublinie, olejny obraz pędzla ciotki Autorki, Heleny Frenkiel, rok 1936, w zbiorach Krystyny Modrzewskiej

Długą i dziwną drogą doraźnych kontaktów rodzinnych, przez Genewę i Paryż, dwa z jej obrazów malowanych na lubelskiej starówce w latach trzydziestych odnalazły mnie w Uppsali, w 1971 roku.

Co pewien czas przyjeżdżała również babcia i wprowadzała pewne reformy gospodarcze, nie zawsze zachwycające moją matkę.

Dziadek odwiedził nas jeden raz, na usilne prośby mojej matki. Nigdy nie lubił ojca, czemu nie można się dziwić, tak diametralnie różni od siebie byli ci ludzie.

Raz odwiedziła nas również przyrodnia siostra babci, stale mieszkająca w Radomiu, gdzie prowadziła renomowaną pracownię kapeluszy. Była bardzo przez nas wszystkich lubiana. Bezpośrednio po zdaniu egzaminów maturalnych wybrałam się rowerem do niej właśnie w odwiedziny. Obdarowała mnie wtedy pierwszą w moim życiu panamą.

Wielokrotnie odwiedzali nas tzw. „chłopcy radomscy”, bratankowie babci, z których jeden praktykował jako lekarz w Markuszowie, a drugi – w Izbicy. Matka dość krytycznie traktowała niektóre z ich wizyt, jej zdaniem mające na celu rozglądanie się za bogatym ożenkiem. Ironią losu jest, że tylko jeden z nich (czterech braci) ożenił się z rozsądku i bardzo bogato i ten też był jedynym, który nie przeżył okupacji.

Połowę domu przy ul. Bernardyńskiej 9 kupił w 1932 roku dr Moszko J. Lewin i wprowadził się niebawem wraz z rodziną do mieszkania na drugim piętrze, zwolnionego przez państwa Kuleszów, starsze małżeństwo o bardzo nobliwym wyglądzie. Przypominam sobie, że czasem odwiedzała ich córka, była uczennica gimnazjum SS Urszulanek, potem zamężna za jednym z adwokatów lubelskich.

Nie mogę pominąć faktu, że gabinet lekarski dr. Lewina i jego działalność wprowadziły pewien element niepokoju do domu. Działalność ta sprowadzała się mianowicie, jeśli nie wyłącznie, to w przeważającej części, do zabiegów aborcyjnych. Już wstępnie mój ojciec był mocno przeciwny tego rodzaju sąsiedztwu. Babce zależało jednak na czasie i pieniądzu, a najczęściej kończyło się na jej decyzji, wymuszonej różnymi środkami psychicznego nacisku.

Nasz zaciszny dom, gdzie wszyscy mijający się na schodach znali się i pozdrawiali, zaczęły nawiedzać obce osoby płci żeńskiej. Panie

i dziewczęta różnego wieku i przynależności społecznej przemykały się schodami i wiadomo było dokąd i w jakim celu zmierzają. Zdarzało się również, że w sieni domu pojawiała się i „pełniła dyżur” jakaś starsza kobieta. Była to, jak się okazało, tzw. „łapaczka”, wynajmowana przez innego lekarza tejże specjalności. Rozpoznawała ona wprawnym okiem kobiety „w potrzebie”, odradzała im szukania pomocy u dr. Lewina i prowadziła pod inny adres. Jedną z takich „łapaczek” okazała się nawet matka pewnego początkującego lekarza – „abortera”, jeżdżąca w tych celach z Żółkiewki.

Rodzina Lewinów składała się, poza rodzicami, z trzech przystojnych córek, z których najstarsza i najładniejsza Ewa (rocznik 1911) była już wtedy zamężna po raz pierwszy. Średnia, Halina, moja rówieśnica, chodziła ze mną do klasy maturalnej w gimnazjum Czarneckiej, co jednak nie doprowadziło do bliższego koleżeństwa. Najmłodsza Ania zaczynała dopiero naukę szkolną.

Między współnikami nigdy nie wytworzyły się stosunki towarzyskie. Kiedy jednak na Lewinów zaczęły spadać ciężkie troski w związku z małżeństwem i procesem rozwodowym najstarszej córki, dr Lewin upatrzył sobie właśnie moją matkę do wyplakiwania przed nią swoich żalów. Po prostu, przychodził płakać. Pewnego dnia oznajmił jej, że nie może przeżyć takiego wstydu i takiej katastrofy i odbierze sobie życie. Na potwierdzenie tego desperackiego zamiaru pokazał jej fiolkę z kurarą. Moja matka uznała to za zwykłe histeryzowanie, na wszelki jednak wypadek odebrała mu ową fiolkę i potem widywałam ją od czasu do czasu w pudle na kapelusze.

Matka rodziny, a jak się w tym czasie mawiało, doktorowa Lewin, uchodziła za osobę tyleż dobrą co naiwną. Córki swobodnie wykorzystywały obie te cechy. Przypominam sobie, jak Halina usiłowała nakłonić matkę do kupienia patefonu. Matka, podejrzewając, iż groźne to urządzenie odciągać będzie pociechy od lekcji, miała tylko „nie” w odpowiedzi na prośby. Halina pożyczyła więc patefon od którejś z koleżanek wraz z płytą... *Jedynie serce matki...* Doktorowa popłakała się i patefon został zakupiony.

Obawy mojej matki nie spełniły się o tyle, że nikt z rodziny Lewinów nie okazywał zainteresowania ogródkiem. Nie znaczy to, aby nie było zainteresowania jego płodami, a ściślej jabłkami, gruszkami i agrestem, który pięknie obradzał. Nic na ten temat nie zostało

powiedziane, ale okazało się, że Lewinowa głowiła się nad tym, jak te podziały mają wyglądać, jak to się ma rozważać czy rozliczać? Tymczasem matka, nie zastanawiając się w ogóle nad tym zagadnieniem, kiedy nadeszła pora zbiorów, poleciła dozorczy odnosić po jednym koszu do Lewinów i po jednym do nas. Lewinowa, zachwycona tak bezbolesnym rozwiązaniem problemu, zatrzymała spotkanego na schodach mojego ojca miłym okrzykiem:

– Ach, jak nam się dobrze z panem doktorem spókuje!

Język polski nie był najsilniejszą stroną doktorowej. I tak, zasięgając kiedyś porady mego ojca, w przedłużającym się i męczącym ją kaszlu, wyjaśniła:

– Taką mam w piersiach rzeżączkę...

Nie byłoby sprawiedliwe, abym wspominając słabostki tej kobiety, bestialsko zamordowanej w niewiele lat później, pominęła jej dobroć, zwłaszcza że dwukrotnie dotyczyła mnie ona osobiście. Otóż w czasie wakacji letnich 1934 roku poddana zostałam operacji ortopedycznej i miałam obie nogi do kolan w ciężkich gipsowych opatrunkach. Lewinowa, widząc trudności mojego przemieszczania się i wyraźnie współczując mi, zaproponowała przejażdżkę dorożką. Okazała się to nie byle jaka przejażdżka i zachowałam ją we wdzięcznej pamięci. Jechała mianowicie aż pod Piaski Luterskie, aby zwizytować obóz lubelskich szomrów.* Była ich opiekunką z ramienia organizacji syjonistycznej, a warto tu dodać, że syjonizm miała niejako wrodzony, gdyż była córką Abrama Kantora, wieloletniego radnego miasta Lublina z ramienia Klubu Ogólnych Syjonistów.

Nie zapomniałam tego letniego popołudnia, odmiennego od wszystkich innych, spędzonego wśród młodzieży tak całkowicie mi obcej, a jednocześnie niezrozumiale wzruszającej. Szomrzy byli ogromnie przejęci odwiedzinami, a powołani *ad hoc* sanitariusze otoczyli mnie przesadną opieką, przenosząc z dryndy i sadowiąc przy ognisku. Wydaje mi się, że gościnnie coś nawet śpiewano w języku żydowskim.

W maju 1935 roku zmarł mój dziadek Adam Frenkiel. Oboje rodzice pojechali do Warszawy na pogrzeb, a ponieważ wypadało to akurat w dzień żydowskich świąt wiosennych, Lewinowa zaprosiła mnie na uroczystą kolację paschalną – seder. Uroczystość ta skupiła

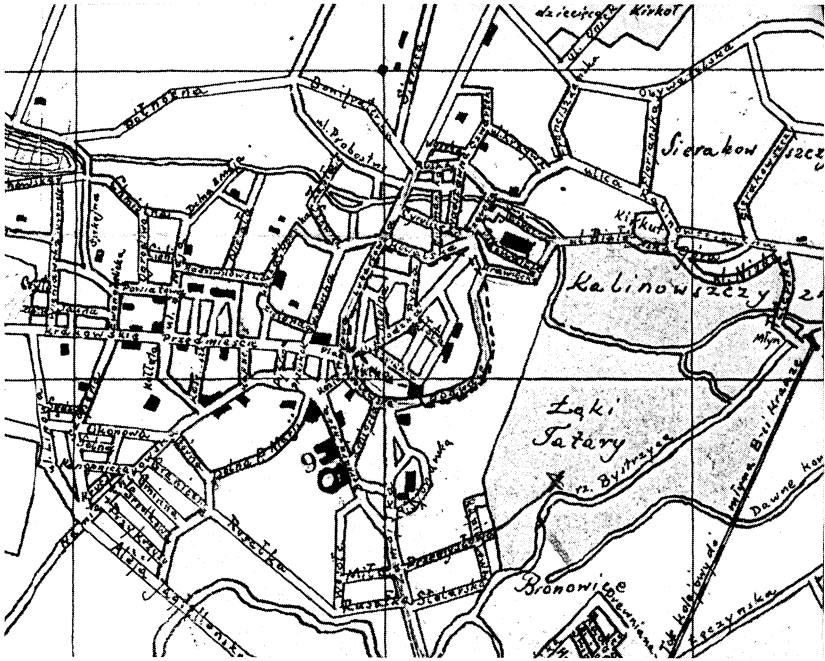
*harcerstwo syjonistyczne

rodzinę Lewinów, powiększoną o niedawno owdowiałą Kantorową oraz o powtórnie zamężną Ewę wraz z jej obecnym mężem – Mieczysławem Langmanem. Tak więc zawdzięczam Lewinowej udział w świącie, które odgrywało wielką rolę w przeszłości mojej własnej rodziny.

Nawiasem wspomnę, że przypadkowo byłam świadkiem ślubu Langmanów. Stało się mianowicie tak, że moi rodzice otrzymali zaproszenie na tę uroczystość w Warszawie, a ponieważ akurat w tym czasie wybierałam się w odwiedziny do warszawskiej babci, matka namówiła mnie, abym korzystając z okazji zobaczyła zarówno świątynię, jak i obrzędy ślubne. Dzięki temu raz w życiu byłam w Wielkiej Synagodze, którą w niewiele lat później, po wymordowaniu resztek Żydów pozostających jeszcze w getcie, wysadzono w powietrze z rozkazu generała Stroopa. Sam obrzęd i jego oprawę pamiętam dość dobrze. Wspaniałość pomieszczeń, rześciste oświetlenie, piękna Ewa pod baldachimem, stroje pań, fraki i cylindry panów – w moim ówczesnym widzeniu całość wystarczająco operetkowa. Powagi ceremonii dodawał celebrujący ją profesor Majer Bałaban, znany historyk, badacz dziejów Żydów w Polsce. Dodam tu, że prof. Bałaban spędził w Lublinie okres I wojny, skąd wywodziła się jego zażyłość z rodziną Lewinów i gdzie, co ważniejsze, powstało jego dzieło pt. *Żydowskie miasto Lublin*.

Nie przypominam sobie, kto zajmował mieszkanie na II piętrze naprzeciwko Lewinów. Pamiętam natomiast lokatorów oficyn i suteren. Po stronie lewej (licząc od miasta) pokój z kuchnią zajmowały dwie córki burmistrza miasta Hrubieszowa Makarewicza, Halina i Jasia, pod opieką cioci Czarkowskiej. Obie były uczennicami gimnazjum SS Urszulanek, obie były prześliczne i w domu tym spędziłam wiele wspólnych, miłych chwil. Pan burmistrz przyjeżdżał z rzadka, ale zawsze sprawiał na mnie duże wrażenie. Wydawał mi się ogromnie przystojny i elegancki.

Sąsiednie jednopokojowe mieszkanie zajmowali Góralowie i oni bywali niejednokrotnie sprawcami awantur rodzinnych w tym, na ogół bardzo spokojnym domu. Czegokolwiek dotyczyły te ekscesy, tłem ich wydawała się być niezgodność religijna. Góralowa była mianowicie zapaloną wyznawczynią Badaczy Pisma Świętego.



Fragment planu miasta Lublina wg A. Z. Krzyżewskiego z 1926 roku. Cyfrą „9” oznaczono dom Autorki „przy zacisznej wówczas i sennej ulicy Bernardyńskiej”

W prawej oficynie mieszkał nauczyciel pan Mikołaj. Przesuwa się w mojej pamięci taki, jakim go widywałam, w zielonym ubraniu typu sportowego z zapinanymi pod kolanami pumpami. Nieodmiennie z teczką.

Dalsze jednopokojowe mieszkanie zajmowali Cebulowie z córeczką Halinką. Nie wiem, jakiego była rodzaju, ani z jakiego czasu pochodziła znajomość mojej babki z Cebulową, którą zwykła była nazywać Ludwikową. Ów Ludwik był starszym już, schorowanym człowiekiem, a po jego śmierci dla żony i ten pokój okazał się może zbyt drogi i wyprowadziła się wkrótce po pogrzebie. Następny lokator, Pietras, jeśli się nie mylę był listonosz, chorował na gruźlicę płuc i zmarł w początkach jesieni 1939 roku.

W oficynie z wejściem od strony bramy wjazdowej mieszkała liczna rodzina Grudniów. Najbliższa mi wiekiem Marysia była stałą towarzyszką zabaw w ogródku lub na podwórku. Jej rodzeństwo: Ju-

rek, Janka, Zygmunt i Leszek do towarzystwa nam się „nie nadawali”, a Tymek był małym szkrabem.

Pani Grudniowa była zawsze pogodna, przyjazna i gościnna, mimo uciążliwych zajęć domowych, a w nie mniejszym stopniu, jak to dziś oceniam, trudnościami finansowymi rodziny.

W pamięci pozostał mi dzień smażenia placków ziemniaczanych, kiedy to my z Marysią hasałyśmy po podwórzu i raz po raz podbiegałyśmy do okna ich kuchni. Pani Grudniowa podawała nam przez okno placki prosto z patelni. Jadło się oczywiście palcami i nic w domu nie smakowało tak wyśmienicie. Takich dni było chyba więcej.

Marysia uczyła się bardzo dobrze i myślę, że źle się stało, że jej w swoim czasie nie przyjęto do Unii. Na naukę w prywatnym gimnazjum nie mogli sobie Grudniowie pozwolić.

Wejście z bramy prowadziło również do suterenu. Było niewątpliwie hańbą tamtych czasów przeznaczenie tych pomieszczeń na mieszkania ludzkie. Były to trzy ciasne, ciemne izdebki o małych okienkach pod samym sufitem, na poziomie trotuaru. Za mojej pamięci izby te zamieszkały, w kolejności idąc od bramy, przez dozorcę domu Jana Kozieła z żoną i jej synem, Różańskich z dwójkiem dzieci oraz przez bardzo już wtedy sędziwą parę małżeńską, państwa Kaczorowskich.

W dawnym, przebudowanym atelier mieszkało starsze małżeństwo, Holckienerowie. Pamiętam, jak odwiedzała ich córka Frakterowa, przystojna, zażywna brunetka, z zawodu dentystka, z mężem i dwiema córeczkami, których zwłoki odnalazł ojciec po powrocie z Syberii w 1945 roku.

Nie pamiętam kiedy, ani w jakich okolicznościach lokatorzy ci wyprowadzili się, a w ich miejsce zamieszkała młoda, może nawet nowo poślubiona para nazwiskiem Wajsbrota. Sądząc po nazwisku, albo może mając w pamięci dawniej uzyskane wiadomości, wydaje mi się, że małżonkowie byli w jakiś sposób spokrewnieni z właścicielami zakładów szrotkarskich, mieszczących się tuż za Bramą Krakowską. Mój kontakt z zakładem Wajsbrota polegał na tym, że zimą 1941 roku, pełniąc funkcję kontrolera strzyży końskiej na terenie gminy Mełgiew, dostarczyłam mu drogą zgoła nielegalną 3 kg włosa. Być może nie zdążył ich nawet spożytkować.

Z czasem, gdy sieć kanalizacyjna została doprowadzona do wszystkich prawie pomieszczeń domu, skasowano „wygódki” na półpiętrach,

pozostawiając jedynie trzy murowane ustępy w podwórzu. Nie wiem, jak dalece przystosowano owe po-„wygódkowe” lokaliki do zamieszkania, ale znaleźli się na nie amatorzy i nigdy nie były one niezajęte. Po naszej stronie mieszkał młody szewc z żoną i dzieckiem, które raczkując po kuchennych schodach trafiało czasem do naszego mieszkania i było traktowane gościnnie. W czasie jednej takiej „wizyty” ojciec przypadkowo usłyszał oddech dziecka. Rozpoznał w nim wadę serca i był tym w jakiś sposób poruszony, czego nie mogłam wtedy w pełni zrozumieć. Nie znałam jeszcze uczucia całkowitej bezradności.

W tym samym pokoju zamieszkała później samotna kobieta w średnim wieku, co w owym czasie mogło oznaczać pomiędzy 30 a 40-tym rokiem życia. Pewnego dnia poczuliśmy dziwny swąd wydobywający się z jej pokoju. W tym wypadku ojciec nie był jednak bezradny i pamiętam, że potem ta osoba długo leżała na kanapie w naszej jadalni. Czy był to wypadek czy usiłowane samobójstwo? Nigdy się tego nie dowiedziałam, ale przypuszczam, że ojciec wiedział.

Pod koniec 1938 roku współwłaściciele domu uradzili remont jego fasady i frontowych klatek schodowych. Zamiar przeprowadzano etapami, z dużym nakładem wysiłków finansowych, ale i z dużym powodzeniem. Ponad 60-letnie wówczas mury świetnie zniosły wszystkie zabiegi kosmetyczne i zajaśniały odmłodzonym obliczem. Zadbano też o upiększenie wnętrza. Pan Beck, poza swym zawodem kamieniarza, zakrystian kościoła ewangelickiego, ułożył kamienną posadzkę z nieodzowną gwiazdą w środku, pomiędzy drzwiami wejściowymi a podestem parteru. Schody odmalowano jakąś wchodzącą wtedy w modę farbą, a ich stopnie pokryto grubym chodnikiem, przytrzymywanym mosiężnymi prętami. Na parapetach okien znalazły się doniczki z kwiatami. Dom, tak odstrojony, można by porównać z panną młodą czekającą na oblubieńca, ale wtedy, w połowie 1939 roku, nikt nie przypuszczał, jaki to „oblubieniec” upodoba sobie dom przy ul. Bernardyńskiej 9. Mój ojciec przewidywał wprawdzie wybuch wojny, ale nikt mu nie wierzył. Nie wierzyliśmy, zalepiając nasze okna śmiesznymi paskami papieru, ani przymierzając równie bezużyteczne maski przeciwgazowe. Nie wierzyliśmy, mimo że karty mobilizacyjne wyrwały z naszego otoczenia coraz więcej znajomych i że zmobilizowany został nawet mój ojciec, w wieku 57 lat.

Pierwsze dni września 1939 roku uderzyły w Lublin nie tylko bombami zapalającymi i burzącymi. Uderzyły falami mas ludzkich, uchodzących z obleganej stolicy i jej okolic. W tej sytuacji dom jak gdyby porzucił całą swoją nowo nabytą kokieterię. Jego ściany niemal rozstępowały się przed szukającymi schronienia lub bodaj chwili wypoczynku w tej bezładnej, makabrycznej ucieczce. Nikt przecież nie wiedział dokąd idzie, ani dokąd trafi, ani co go spotka po drodze.

Mieszkanie nasze zapełniło się osobami znajomymi i obcymi, zupełnie przypadkowymi, cywilami i całkowicie zdezorientowanymi żołnierzami, czasem „poszukującymi jednostki”, co było zbyt tragiczne, aby być śmieszne. Gotowało się nie czajniki, lecz gary herbaty. Matka bez wahania wypróżniała spizarkę, może i w przekonaniu, że podstawowe zapasy będzie można przecież uzupełnić niebawem, jak się „to wszystko” skończy. Podobnie jak my wszyscy, była bowiem pewna, że wojna skończy się lada dzień, z chwilą przystąpienia do niej Anglii i Francji...

Zaciemnionymi wieczorami wymykałam się, w te pierwsze dni wojenne, do sąsiedniego mieszkania babki, gdzie obradowano „politycznie”, grano w modną wtedy „kariokę” (rodzaj remibrydża), a czasem urządzano seanse spirytystyczne z wirującym talerzykiem. Ani karty, ani seanse nie mogły mieć miejsca w domu mojej matki.

Wieczorami u babki i jej towarzysza życia pana Gucia (Gustawa Piątkowskiego) spotykało się kuzynkę ojca Annę Wajs, późniejszą okupacyjną Kowalską, uratowaną ze zbombardowanej oficyny domu Woškowskich oraz zaprzyjaźnionego z babką jej dawnego wieloletniego sublokatora Ferdynanda Batora, faceta z aspiracjami do kariery dyplomatycznej, i jego żonę Irenę, osóbkę o miłej powierzchowności, z aspiracjami operowymi lub bodaj operetkowymi.

Dom przetrzymał kolejne naloty i wściekły ogień artyleryjski przez siedemnaście dni oblężenia miasta. Płonęły i rozpadały się w proch gmachy państwowe, zabytkowe domy staromiejskie i zwyczajne, skromne domy czynszowe, gdzieniegdzie całymi ulicami, ale dom przy ul. Bernardyńskiej 9 stał.

Osiemnastego dnia zobaczyliśmy przez okna naszych mieszkań wkraczające oddziały wojsk niemieckich. Tego samego dnia rozpoczęły się drobne, indywidualne, w historii wszystkich wojen utrwalone tradycją, wypadki łupieskie żołnierzy. Wchodzili do mieszkań z krzykiem

i wzmożonym tupotem, małymi grupkami, które rozpraszały się po pokojach. Wyciągali szuflady i wyrzucali na podłogę zawartość szaf, szperali po kątach. Zabierali tylko rzeczy drobne, łatwe do przechowania, albo i wysłania do domu, w prezencie, jako „upominek z podróży”. Mieli wyraźną predylekcję do biżuterii, do złotych pierścionków i łańcuszków. W naszym mieszkaniu złota nie było, więc zadowolili się srebrną bransoletką, którą kiedyś dostałam od mojej ukochanej ciotki, oraz wiecznym ołówkiem. Były to jednak tylko same początki zła.

Wśród ruin domów lubelskich oraz zaniedbania i ciasnoty w wielu przetrwałych, nasz nowo remontowany dom zwrócił na siebie uwagę niemieckich władz wojskowych. Rozpoczęły się rekwizycje. Początkowo zajęto trzy pokoje w naszym mieszkaniu i wprowadził się pułkownik Sikora (rodem z Gliwic), z ordynansem Sosenką (z Górnego Śląska) i szoferem. Do mieszkania Lewinów, opuszczonego po ich decyzji ucieczki „za Bug”, wkwaterowała się grupa hałaśliwych podoficerów, których conocne biesiady wprawiały w bezsenność i stałe uczucie zagrożenia pozostałych mieszkańców domu. W libacjach tych uczestniczyły niekiedy jakieś dziewczyny, przypuszczalnie odnalezione i sprowadzone spośród gruzów Starego Miasta.

Do ulubionych rozrywek tych panów należało wyrzucanie mebli Lewinów przez okno, na bruk podwórza. O ile pamiętam, najgłośniejszy spadł zegar szafkowy z jadalni, a hukowi, jaki spowodował, towarzyszyły huragany śmiechu. Ta zabawa szybko sprzykrzyła się niemieckim „dzielnym wojakom” i uwaga ich zwróciła się w stronę sąsiedniego mieszkania, w którym po ucieczce lokatorów zamieszkały zbiegłe z Warszawy dwie siostry dr. Tenenbauma, lubelskiego pediatry. Były to starsze niezamężne panie, nauczycielki, podobnie jak ich brat, bardzo niskiego wzrostu. W oczach podpitych Niemców chyba po prostu: dwie stare żydowskie karlice. Obrali je sobie za przedmiot zabaw. Z prostactką pomysłowością kazali im biegać w majtkach, gonić się wokół stołu, tańczyć kozaka, zaśmiewając się z przerażonych min i niezdarłych ruchów ofiar.

1 grudnia 1939 roku w domu pod nr 9 zjawiło się dwóch podoficerów SS i kazało wszystkim lokatorom opuścić mieszkania w ciągu kwadransa. O dalszych losach ludzkich toczących się w tym domu dowiedziałam się dopiero w kilka lat później.

Babka z Gustawem przenieśli się do wspólnego pokoju na Starym Mieście. Babka wcześniej jeszcze zorientowała się, że nadszedł kres dzieła jej życia – sklepu przy Krakowskim Przedmieściu 13. Poddawać się nie leżało jednak w jej naturze. Odbyła konferencję z Ferdynandem Batorem, którego uważała za mądrego i oddanego sobie człowieka. Jeszcze w ścianach własnego mieszkania przy ul. Bernardyńskiej babka podpisała umowę fikcyjnej sprzedaży sklepu, to znaczy prawa do wynajmowanego lokalu oraz jego urządzenia i przejętej masy towarowej. Można tu dodać, iż nie była to w życiorysie handlowym babki pierwsza fikcyjna umowa, pozbawiająca ją prawa do zdobytych własności. Parę lat wcześniej, w porze wchodzenia w życie ustaw norymberskich, podobną umową „sprzedała” posiadaną w Berlinie kamienicę administratorowi Albertowi Splittowi.

Nową właścicielką została żona Batora, pod swoim panińskim nazwiskiem – Irena Murawska. Babka zastrzegła sobie tylko, bo wydawało jej się, że jeszcze ma prawo do jakichkolwiek zastrzeżeń, aby Gustaw prowadził księgowość i codziennie mógł bywać na zapleczu sklepu. W rzeczywistości chodziło o to, aby Gustaw „nie spuszczał z oczu” starego biurka, które się tam znajdowało. Tylko oni dwoje wiedzieli o tym, że biurko to ma podwójne dno i kryje w sobie majątek babki w złocie. Zdarzyło się jednak, że Niemcy nie życzyli sobie polskiego sklepu w samym prawie centrum miasta i polecili firmie „Irena Murawska” natychmiastowe przeniesienie sklepu do małego lokalu przy ul. Świętoduskiej, tuż za rogiem ulicy Zielonej. Nigdy nie zostało wyjaśnione, co podczas przeprowadzki przytrafiło się staremu gratowi.

Z moich dróg wojennych wróciłam do Lublina we wrześniu 1944 roku, ale o zamieszkaniu w domu przy ul. Bernardyńskiej nie mogło być mowy. Przede wszystkim zaś nie było z kim mówić, bo komendant stacjonującej w nim jednostki Milicji Obywatelskiej w ogóle nie chciał ze mną rozmawiać. Także władze miejskie, zdezorientowane i bezsilne.

Sam dom był, rzec można, niepodobny do siebie. Tynki nosiły tu i ówdzie ślady kolizji z ciężkimi środkami przewozu. W kilku miejscach ciemniały wielkie, okrągłe plamy z uszkodzonych instalacji wodociągowych. W pokojach, z których powymowano drzwi, stały ciasno

stłoczone piętrowe prycze, a od całości wiało ciężką wonią koszar, ze wszystkimi składnikami, jakie się na nią sumują.

Żaden z dawnych lokatorów nie powrócił do opuszczonego w 1939 roku mieszkania.

Przez wiele tygodni, najpierw sama, a potem razem z matką, byliśmy gośćmi plebanii kościoła pobernardyńskiego. W zniszczonym wojną, przeludnionym mieście nie wylaniały się żadne konkretne możliwości mieszkaniowe. Zupełny przypadek sprawił, że niespodzianie, w ciągu kilku dni, nasza sytuacja zmieniła się radykalnie.

W 1944 roku niezbyt często spotykało się dawnych znajomych na ulicach stołecznego Lublina. Toteż napotkana piękna pani w wojskowym szynelu zwróciła na siebie moją uwagę. Znałam ją. Pamiętałam ją z jednego przelotnego spotkania przed kilkunastu laty. Żeby upewnić się, głośno powiedziałam jej imię i nazwisko: Izabella Gelbard. Wrażenie było piorunujące. Musiałam długo tłumaczyć, kim jestem, a przede wszystkim, że nie jestem widmem, ale żywą osobą o dobrej pamięci. Okazało się, że dawna znajoma nazywa się obecnie Stefania Czajka, według metryki nieżyjącej warszawskiej prostytutki, która to metryka uratowała jej życie. Poza tym była... kapitanem Milicji Obywatelskiej.

Nasza sytuacja mieszkaniowa żywo ją zainteresowała. Oświadczyła, że będzie moją matkę nazywać ciocią i w rezultacie, dzięki jej koneksjom i darowi wymowy, „cioci” i jej rodzinie, do której się ochoczo zaliczyła, przydzielono część mieszkania na II piętrze, dwa pokoje z kuchnią i łazienką, w amfiladzie. Przy czym drzwi od łazienki zabito deskami, aby uniemożliwić nam wyjście przez frontową klatkę schodową i przechodzenie przez „teren” MO. Tym samym, mieszkanie sytuowało się na trzecim piętrze. Zagaściło się ono dość znacznie, bo jednocześnie ze mną zaczęła studiować na UMCS i zamieszkała z nami koleżanka z lat okupacji, Maria Siuda, a do pokoju zajmowanego przez „kuzynkę” Czajkę wprowadził się niebawem jej przyjaciel, a późniejszy mąż, Włodek Stachowicz. W tamtym okresie, ostatnich miesięcy wojny, ciasnota mieszkaniowa nie stanowiła problemu.

Współlokatorzy wyprowadzali się stopniowo. „Kuzynka” z towarzyszem opuściła Lublin, gdy przestał on być stolicą, a koleżanka Marysia wyszła za mąż. Pod koniec 1946 roku zamieszkała z nami osoba, która zajęła ważne miejsce w naszym życiu domowym i dzieliła

je z nami aż do śmierci mojej matki w 1965 roku. Z osobą tą zetknął matkę wojenny przypadek, a z biegiem lat i zdarzeń związało głębokie obustronne przywiązanie. Było mianowicie tak, że wczesną wiosną 1942 roku życiu mojej matki zagroziło bezpośrednio niebezpieczeństwo, a jedyna pozostawiona jej droga prowadziła do obozu na Majdanku. W tej sytuacji zaprzyjaźnione siostry Zgromadzenia Rodziny Betańskiej w Lublinie postanowiły udzielić jej schronienia w swoim domu w Międzyzlesiu pod Warszawą.

Posiadłość w Międzyzlesiu – murowaną willę z dużym ogrodem – otrzymało Zgromadzenie tytułem darowizny z obowiązkiem dożywotniej opieki nad sędziwą donatorką. Do Międzyzlesia wydelegowano siostrę Teklę i siostrę Eugenię, które zastały dom chylący się ku ruinie i ogród zarośnięty chwastami.

Zgromadzenie, w dużych trudnościach finansowych, nie tylko nie mogło angażować się w remonty, ale, jak się niebawem okazało, nie było w stanie łożyć na utrzymanie trzech osób przebywających poza Domem Macierzystym. Rozważywszy całość sytuacji siostra Eugenia ulotniła się dość szybko. Siostra Tekla pozostała jednak, zaopiekowała się domem i staruszką. Uporządkowała wnętrze domu i zagospodarowała ogród. Z czasem założyła też kurnik i hodowała króliki dla potrzeb domu.

Z wybuchem II wojny sprostanie podstawowym potrzebom stawiało się coraz trudniejsze, a braki aprowizacji i opału coraz dotkliwiej dawały się we znaki. Sprzedaż warzyw, owoców i jajek nie wystarczała. Siostra Tekla, zdana na własne tylko siły, podjęła wędrówki po okolicznych i dalszych wsiach, gdzie skupowała nabiał na sprzedaż. Jedyna pomoc z zewnątrz pochodziła od miejscowego rzeźnika Florjańczyka, który rozdzielał pomiędzy biedotę wywar po wygotowywaniu potajemnie wyrabianych kielbas. Wspominam o tym, ponieważ działalność ta była nie tylko aktem miłosierdzia, ale także wiązała się z zagrożeniem jego życia. Tak działo się do wiosny 1942 roku, kiedy to s. Jadwiga, późniejsza przełożona Zgromadzenia, przybyła wraz z moją matką, ubraną z wiejska, do domu w Międzyzlesiu. Stawiając s. Teklę przed faktem dokonany, zlecono jej opiekę nad wysiedloną starszą kobietą. Nie ufając (niesłusznie) rozsądkowi czy też dyskrecji s. Tekli, nie wyjaśniono jej sedna sprawy. Nic więc dziwnego, że w istniejących warunkach bytowych siostra bardzo niechętnie przyjęła narzu-

cony jej ciężar i początkowo nieprzychylnie odnosiła się do matki. Stosunek ten dość szybko uległ zmianie na lepsze, bo matka chętnie pomagała w ogrodzie, a pod nieobecność siostry, w jej przedłużających się czasach wyprawach po nabiął, opiekowała się zwierzyną domową. Wkrótce też zaczęła zarabiać pracą na drutach. Dodatkowo, od połowy 1943 roku moja praca w Starostwie Powiatowym w Garwolinie stała się na tyle samodzielna, że mogłam skutecznie uzupełniać aprowizację domu trzech kobiet w Międzyzlesiu. Siostra Tekla przyjeżdżała do Garwolina w każdą sobotę po przygotowany prowiant. Tak było aż do 23 lipca 1944 roku.

Linia frontu pomiędzy wojskami niemieckimi, które paliły Warszawę, a wojskami radzieckimi, nie spieszącymi jej z pomocą, przebiegała przez Międzyzlesie. Dom sióstr został uszkodzony pociskami artyleryjskimi i splądrowany. Po długiej wspólnej wędrówce wśród tłumów ludności okolic podstołecznych, matka dotarła do Lublina, a s. Tekla do Domu Macierzystego Zgromadzenia, mieszczącego się wówczas w Nałęczowie.

Przez cały rok 1945 dochodziły nas wiadomości o złym samopoczuciu s. Tekli i niesnaskach wokół jej osoby. Tyle lat gospodarując samodzielnie nie potrafiła nagiąć się do bezwzględного posłuszeństwa, ani współpracować w grupie. Miała też głęboki żal o pozostawienie jej w Międzyzlesiu z obowiązkami i obciążeniami, a bez żadnej pomocy ze strony Zgromadzenia. Wreszcie matka, zaniepokojona tymi wieściami, wybrała się z wizytą do Nałęczowa. Musiała wysłuchać skarg Siostry Przełożonej i żalów s. Tekli, która zdecydowanie pragnęła opuścić Zgromadzenie.

– Jeśli siostra podejmie taką decyzję, to nasz dom będzie zawsze ze otwarty – powiedziała matka na odjeźdym. Niebawem s. Tekla zjawiła się na Bernardyńskiej i zamieszkała z nami.

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej był w tym czasie miejscem o bardzo ludzkim obliczu i przytuliskiem wielu różnych ludzi. Wystarałam się więc dla s. Tekli o pracę sprzątaczką w gmachu uczelni przy ul. Głowackiego. W pracy tej, ogólnie lubiana, dotrwała aż do przejścia na emeryturę.

Była dobrym duchem naszego domu, zajmując się jego gospodarstwem w złych i lepszych czasach. Stała nam się kimś bardzo bliskim. Była z moją matką przez te wszystkie lata, w zdrowiu i cho-

robie, które ja, spokojna o nią, spędziłam poza Lublinem i przez późniejszy, jeszcze gorszy okres, kiedy będąc w Lublinie, zbyt rzadko bywałam w domu. Po śmierci mojej matki zapragnęła ostatni okres swego życia spędzić w stronach rodzinnych, gdzie żył jeszcze jej młodszy brat z rodziną.

Przez dłuższy okres czasu, poza naszym mieszkaniem, jedynie dawne atelier było zajęte przez osoby cywilne. Mieszkała w nim Michalina Żukowska z synem, zainstalowana tam jeszcze przez Niemców. Pełniła ona rolę dozorczyni domu i w tymże charakterze zatrudniały ją nadal władze miejskie, czy też tylko milicyjne. Stopniowo, pomiędzy 1957 a 1974 rokiem, wprowadzały się córki z zięciami i progeniturą. Trudno sobie wyobrazić, jak mieszczono się w tym szczupłym lokalu, pierwotnie o zupełnie innym przeznaczeniu. Inna sprawa, że rodzina we własnym zakresie „rozbudowała” zgrabny niegdyś pawilonik, przyklecając do jego ścian komórki i schowki ze skrzynek i kartonów.

Żukowska opowiadała nam, że Niemcy, uciekając w lipcu, zostawili dom w stanie idealnego porządku i czystości. Sama nie mogła się nadziwić, „co się z tego zrobiło w ciągu trzech miesięcy”. Ona też opowiedziała nam, że stacjonująca w domu jednostka SS była w jakiś sposób związana z obozem na Majdanku. Z obozu przysyłano Żydów do pracy, rzemieślników i „takich różnych” i niejeden już żywy z tego domu nie wychodził. Dodawała swoje przypuszczenie, że nigdy się nie dowiemy, co się tam w tej piwnicy–mordowni wyprawiało. Z czasem miało się jednak okazać, że i piwnica zabrała głos i strych przemówił.

W początkach 1945 roku stacjonująca przy ul. Bernardyńskiej 9 jednostka MO została odkomenderowana do nowych zadań na północy kraju, a w jej miejsce zakwaterowano jednostkę armii radzieckiej, której dziełem było dokonanie ostatecznego i całkowitego zniszczenia domu. Jako pierwsza przestała działać instalacja kanalizacyjna, co jednak dla dzielnych wojaków radzieckich nie stanowiło najmniejszego problemu – odlewali się gdziekolwiek, a czynności defekacyjne przenieśli na zaciszny strych nad nami. Przy takiej okazji zdarzyło się, że pewien młody „starszyna”, dokonawszy aktu opróżnienia jelit, usiłował zasypać ich treść, jak kotek, piaskiem, który stał tu od września 1939 roku. Przy tej czynności natrafił na jakieś małe zawiniątko

u podstawy krokwi dachu. Zawierało ono kilka rubli, wprawdzie dawno wyszłych z obiegu, ale złotych. Radość była wielka i nie tylko jednostkowa, bo ruble natychmiast poszły w obieg wymienny. „Starszyna” zyskał przy zamianie „harmoszkę” prawie nową oraz garnitur, a resztę przepili wspólnie.

Na krótko po tym zdarzeniu, zjawił się u matki jakiś człowiek z prośbą o udostępnienie mu wejścia na strych. Pokazał jej skrawek papieru, na którym, przy koślawym szkicu strychu, zaznaczono miejsce ukrycia złotych monet. Napis poniżej wyrażał przypuszczenie piszącego, że nie opuści żywcem tego miejsca. I dalej: „dają zastrzyk w serce”. Przybyły wyjaśnił, że to pośmiertne przesłanie otrzymał jego krewny od współwięźnia w obozie na Majdanku.

– Pan się spóźnił – powiedziała matka, bo o szczęściu „starszyny” y” opowiadał nam jeden z jego kolegów. Chłopcy, daleko od rodzin, albo ich już w ogóle nie mający, zachodzili czasem do nas na pogawędkę, a nawet niekiedy „dokarmiali” nas puszkami „tuszonki” i wytworami swojej kuchni. Nie był to w tym czasie poczęstunek do pogardzenia. Przybysz chciał jednak sprawdzić osobiście. Może nie dowierzał matce, a może nawet podejrzewał, że znając miejsce skrytki sama zechce ją „odkryć”. Oczywiście, otrzymał klucze i po kilku zaledwie minutach powrócił z zawiniętymi w bardzo brudną szmatkę złotymi monetami. Zaproponował matce podział, ale matka, obrażona sama taką propozycją, odpowiedziała, że nigdy dotąd w ten sposób nie zarabkowała.

Zastrzyk do serca? Słyszało się o tym. Przypomniało mi się, że zaraz po naszym wprowadzeniu się na Bernardyńską, której nazwę miano niebawem zmienić na ul. Jarosława Dąbrowskiego, znalazłam w piwnicy dużą ampułkę nieco oleistej cieczy. Czy był to fenol? Tak podejrzewałam, ale zajęta swoimi sprawami, zaniedbałam przekazania ampułki do analizy.

W piwnicy znalazłam również zniszczoną i odłamaną rękojeść czegoś, co mogło być nahajką. Nie zachowałam tego przedmiotu. Mój brat został zatłuczony w niemieckim więzieniu, w październiku 1939 roku.

Tak więc piwnica i strych dały świadectwo prawdzie.

Podczas gdy w głębi domu dokonywały się sprawy tajne, wrogie i okrutne, w ogrodzie mojej matki, poza zamykaną od podwórza furtką żeliwnego, sztachetowego ogrodu, rozbrzmiewały wesole głosy

dziecięce. Tam bowiem, przy sprzyjającej pogodzie, wyprowadzano niewielką grupę dzieci w wieku przedszkolnym. Były to dzieci niemieckich pracowników zatrudnianych przez okupanta. Znajomy, który mi o tym opowiadał, był jednym z tych przedszkolaków, z racji pracy jego matki w szpitalu niemieckim, zajmującym wtedy gmach b. Gimnazjum Unii Lubelskiej przy ul. Narutowicza 12. Nie pamiętał szczegółów, „pani” ani lokalu przedszkola, a jedynie drogę do ogrodu, ogród i zabawy...

Ponieważ dom podczas okupacji uznany został za dobro porzucone, musiałam przeprowadzić sądowy proces rewindykacyjny, w czym mieściło się również dochodzenie spadkowe po ojcu. Matka nie chciała uczestniczyć w spadku. Samo „posiadanie” nigdy jej nie nęciło, rozumowo zaś uznała, biorąc pod uwagę naturalny bieg przemiany pokoleń, że byłoby nonsensem narażanie mnie na ponowne opodatkowanie spadkowe, po niej. Tak więc, mocą działania prawnego, zostałam w maju roku 1946 uznana za właścicielkę nierozdzielnej połowy nieruchomości. Drugą połowę domu rewindykowałam, działając z pełnomocnictwa Ewy Langman, jedynej z rodziny Lewinów pozostałej przy życiu. Tuż przed wybuchem wojny wyemigrowała z mężem i kilkuletnią córeczką do Argentyny.

Krasnoarmiejcy opuścili dom, gdy nie było w nim już absolutnie niczego do zniszczenia albo zagrabienia. Widok wnętrza można by określić jako przerażający, gdyby lata okupacji nie dostarczyły nam wszystkim większych przerażeń.

Dom, po rekwizycjach SS-mańskich, milicyjnych i radzieckich, padł ofiarą inwazji szczurów i pcheł.

Porozbijanymi przewodami kanalizacyjnymi, otworami kloacznymi, poprzez zwały śmieci i odpadków, im tylko znanymi tunelami, wtargnęły szczury. Spotykało się je na schodach, po wyjściu z mieszkania, przemykające niespiesznie przez podwórze, spasione na radzieckim wikcie, na pół oswojone, jawnie wszędobyłskie. Moja walka z nimi była krótka i okrutna. Pomijam jej szczegóły, ograniczając się do stwierdzenia, że wyszłam z niej zwycięsko. W każdej chwili groziła jednak ponowna inwazja, jeśli nie zostaną podjęte remonty i odcięte kanały jej szerzenia się. Kto miał jednak podjąć te działania? Pytanie to było całkowicie retoryczne.



Pieczętka Krystyny Modrzewskiej jako właścicielki domu przy ul. Bernardyńskiej 9 w latach 1946–1989

Pchły, które inwadowały dom wraz ze swymi żywicielami, pozostawione bez środków do życia, coraz bardziej głodne, rzucały się drapieżnie na każdego, kto próbował przestąpić próg pustych, porozbijanych pokoi.

W tych warunkach dom stawał się tylko zbyt ciężkim obciążeniem i zaczęłam zastanawiać się nad sposobami pozbycia się go i znalezienia odpowiedniejszego mieszkania. Ponieważ Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej uskarżał się na brak lokali do zajęć ze studentami, jednocześnie zaś rozpoczął budowę domów dla pracowników, wysunęłam projekt oddania domu do dyspozycji uczelni, w całości, bo również z ważnego jeszcze w tym czasie pełnomocnictwa Ewy Langmanowej, w zamian za dwupokojowe mieszkanie służbowe. Uznano ten projekt za możliwy do realizacji i dom mój odwiedziła Wysoka Komisja w osobach profesorów Malickiego i Paszewskiego. Jak można się było spodziewać, dom nie zachwyił ich, a pchły prawdopodobnie porządnie pogryzły i wypłoszyły.

Dom nie stał długo pusty. Wkrótce znalazł się pod zarządem Wydziału Gospodarki Komunalno-Mieszkaniowej Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Zagospodarowywanie domu poszło w dwóch kierun-



Dom przy ulicy Bernardyńskiej 9 – stan dzisiejszy

kach. Umożliwiono spółdzielni, której nazwy ani zakresu działania nie pamiętam, wyremontowanie części budynku dla celów biurowych oraz przydzielono poszczególnym rodzinom lokale do zagospodarowania we własnym zakresie. Na rachunek Spółdzielni dokonano podstawowych remontów, tak aby mogła zainstalować tam swoje pokoje biurowe. Mieszkanie na drugim piętrze, będące zasadniczo drugą częścią zajmowanego przez nas lokalu, przeznaczono na mieszkanie służbowe szefa oddziału.

Odblokowano zabite deskami drzwi na klatkę schodową, co dało nam kilka dni nadziei, że będziemy mogły z niej korzystać. Trzy piętra stromych schodów kuchennych stawały się coraz uciążliwsze dla mojej matki. Nadzieje nasze nie tylko nie sprawdziły się, ale sytuacja życiowa uległa znacznemu pogorszeniu. Aby odseparować swoje mieszkanie, urzędas-decydent kazał wystawić ściankę działową wzdłuż łazienki i części przedpokoju, tak że po jego stronie pozostała wanna oraz miejsce na inne udogodnienia toaletowe, a po naszej – umywalka i sedes.



Zachodnia ściana domu nr 9 od strony zabudowań parafialnych. Widoczne ślady zniszczeń i zacieków wymagające remontu

Tym samym ponownie zamknięty został dostęp do schodów frontowych. W tamtym czasie właściciel domu nie miał absolutnie żadnego wpływu na to, co się z jego własnością, ani w jej obrębie wyczynia. Zwłaszcza, jeśli go nie było stać na remonty, ani na pertraktacje ze skorumpowanymi, pazernymi figurantami ówczesnej administracji miejskiej.

Biura Spółdzielni gościły w domu przy ul. Bernardyńskiej do połowy lat pięćdziesiątych. Pojedyncze rodziny zaczęły zjawiać się z nakazami urzędu kwaterunkowego już od 1946 roku. Można powiedzieć, że upakowano nimi przestrzeń mieszkalną, wciskając rodziny do przydzielonych, ciasnych pomieszczeń. Łącznie podzielono powierzchnię użytkową budynku na trzynaście lokali mieszkalnych. W książce meldunkowej przy nazwiskach niektórych lokatorów znajduje się notatka dotycząca ich powierzchni życiowej, jak np. Jarzęcka Sabina – 13 m², Witkiewicz Eleonora – 8 m² (?). Do najwcześniejszych



Widok na zabudowania przy ul. Bernardyńskiej od strony ogrodów nad Bystrzycą.
Na lewo od domu nr 9 widoczny Dom Księży Seniorów

lokatorów należała rodzina Zajęckich z dwojgiem dzieci i trzecim, które urodziło się w 1952 roku jako pierwszy powojenny noworodek w tym domu. Pierwszą osobą zmarłą tu po wojnie była lokatorka pokoju wydzielonego z naszego przedwojennego mieszkania (w 1949 roku), Katarzyna Jasińska ze Lwowa, w wieku 74 lat.

Połączone frontowe pokoje na II-gim piętrze przeznaczono w całości na tymczasowy internat dla uczniów Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych (przypuszczalnie w latach 1957–1967).

W zaistniałej sytuacji postanowiłyśmy sprzedać dom, o ile tylko znajdą się kontrahenci, chętni do przejęcia go w stanie, w jakim się znajdował. Był to już 1956 rok i podpisałam kontrakt na trzypokojowe mieszkanie w budującym się współdomie przy ul. Ogrodowej.

Wbrew moim przypuszczeniom i obawom, zjawił się u matki jakiś nieśmiały, skromny osobnik spod Krasnegostawu, który wymarzył sobie osiedlenie się wraz z rodziną w Lublinie. Rączo, jak gdyby



Okna od strony południowo-zachodniej

obawiał się, że ktoś go ubiegnie w tym wątpliwym interesie, albo też, że mu się przeznaczone „na Lublin” pieniądze rozejdą, wpłacił matce zadatek, wysokością swoją odpowiadający mniej więcej ówczesnej wartości mieszkania, które zajmowałyśmy. Okazało się, że głównie chodziło mu o mieszkanie. Gdy tylko wyprowadziłyśmy się do nowego mieszkania przy ul. Ogrodowej 8, ów natarczywy kontrahent zrezygnował z dopełnienia umowy, choć chętnie przybierał nadal fasony właściciela. Rozprzestrzenił nawet swoje posiadanie na wspomniany po-„wygódkowy” pokój na kuchennym półpiętrze, a w szereg lat później jego syn wystawił dla siebie, już zupełnie „prawem kaduka”, niezdatny barak na terenie całkowicie zdewastowanego ogródka.

Mimo wysiłków i najlepszych chęci nie przestawałam więc być posiadaczką, że nie powiem – kamieniczniką. Tymczasem w domu zmieniali się lokatorzy. W pewnym okresie działało tu również Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków MRN. Woźny tego Przedsiębiorstwa, dawny lokator środkowej sutereny – Różański, rozpoznał mnie na schodach, a że był w stanie wyraźnie nietrzeźwym, nie dobierając słów, zrobił mi wymówkę za przeżycie okupacji. Przypominam sobie, że przy jego agresywnym wystąpieniu obawiałam się głównie tego, że wytrąci mi z ręki słóiczek ze śmietaną, który niosłam od... pani Kozłowskiej (przedwojennej), teraz, w moim myśleniu, nie tylko uprzejmej sprzedawczynie, ale także matki Tadeusza, znanego działacza ZHP, komendanta Chorągwi Lubelskiej „Szarych Szeregów”, zamordowanego w Oświęcimiu.

W latach późniejszych w domu przy ul. Bernardyńskiej 9 działała również chyba aż do 1980 roku Spółdzielnia Krawiecko-Artystyczna „Viola”.

Dom, przechodząc na moją własność, wymagał regularnych działań administracyjnych. Pierwszym jego administratorem, przypuszczalnie doradzonym mi przez mec. Szymońskiego, który prowadził sprawę rewindykacyjno-spadkową, był starszy pan nazwiskiem Szczepański. Mój kontakt z nim sprowadzał się do tego, że corocznie, pod koniec roku, przysyłał starannie wykaligrafowane „rozliczenie”. Wynikało z niego, że suma wpływów równała się sumie wydatków. Niekiedy pojawiała się drobna nadwyżka, którą przenoszono jako saldo na rok następny.

Około roku 1954 administrację przejęła pani G., która była administratorką wielu domów lubelskich. Zachowanie się tej osoby wydawało mi się nieco dziwne. Zjawiała się od czasu do czasu, relacjonowała podjęte przez nią remonty, skarżyła się na niewypłacalność lokatorów, na koszty, trudności takie lub inne i wpłacała nam jakąś sumę, jakoby należącą nam się... Było to dość żenujące, bo ani nie miało się właściwie pojęcia skąd i za co są te pieniądze, ani nie kwitowało się ich odbioru. Miały nieprzyjemny posmak łapówki.

Z czasem dowiedziałam się, że pani ta jest znaną w mieście specjalistką od łapówek, zarówno od brania ich, jak i dawania. Miała osobiste koneksje z ówczesnymi władzami administracyjnymi miasta, zwłaszcza skarbowymi i kwaterunkowymi, oraz ożywioną współpracę z przedsiębiorstwami budowlano-remontowymi. Również niektóre zakłady rzemieślnicze, zwłaszcza malarskie i hydrauliczne, dobrze prosperowały przy jej współpracy.

Ponieważ zarówno moja matka, aż do swojej śmierci w 1965 roku, jak i ja, utrzymywałyśmy się z pracy i nie byłyśmy szczególnie zainteresowane dochodami z domu, działalność administratorki niewiele nas obchodziła. Zdarzyło się jednak, że moja bliska znajoma owdowiała nagle. Była to osoba pełna energii i inicjatywy, dla której przedtem nie mogła znaleźć żadnego ujścia, wobec tradycyjnego stanowiska męża, który chciał „mieć żonę w domu”. Postanowiłam przyjść jej z doraźną pomocą przez powierzenie administracji domu przy ul. Bernardyńskiej 9.

Burza, która się rozpetęła po wymówieniu pracy dotychczasowej administratorce, przeszła wszystkie moje oczekiwania. Poza tym, że ona sama pospieszyła z najzupełniej dla mnie niejasnymi wyjaśnieniami i usiłowała przy okazji wręczyć mi kwotę 4000 złotych, jakoby należących mi się, odebrałam szereg telefonów interwencyjnych. Wymieniłem tu takie osoby jak mecenas, ksiądz, znajoma farmaceutka z Nałęczowa, siostra zakonna z parafii... Najwidoczniej bywała uczynna i wiele osób miało jakieś zobowiązania względem tej pani.

Moja znajoma, którą uważałam za ogromnie mi życzliwą, objęła administrację mojego domu, a nieco później również współdomu przy ulicy Ogrodowej, gdzie zamieszkałam.

W 1970 roku, zmuszona zbiegiem tragicznych okoliczności, opuściłam Polskę. Losy domu nie interesowały mnie zupełnie i nie oczekiwałam o nim wiadomości. Miało się jednak okazać, że to wysłużone domisko zwracało jeszcze na siebie czyjąś uwagę. Zainteresowanym



Fragment wnętrza z pietyzmem wyremontowanego przez firmę „Pate” i mieszczącego jej część administracyjną, fot. z 17 lipca 1999 roku

okazał się pan Jacek Telenga, obecnie właściciel firmy budowlanej „Pate”, który w roku 1989 nabył prawa do mojej połowy domu przy ul. Bernardyńskiej 9.

Pan Telenga i jego przedsiębiorstwo (budownictwa specjalistycznego) pracuje i prosperuje doskonale. Wykonane przez to przedsiębiorstwo prace renowacyjne, które mi pokazywał w czasie naszego ostatniego spotkania, niewątpliwie dodają blasku lubelskim fasadom.

Z autentyczną przyjemnością i bez żadnych dodatkowych żalów czy wzruszeń, pozwoliłam panu Telendze i jego sympatycznej żonie, oprowadzać się po domu przy ul. Bernardyńskiej 9, gdzie rozlokowały się biura jego firmy. Wyremontowana część domu świeci dobrą robotą i elegancją, jakiej te mury nigdy dotąd nie zaznały. Można by tylko gratulować osiągnięć.

Tym akcentem zamknęłaby się moja opowieść o domu przy ulicy Bernardyńskiej nr 9, gdyby najniespodziewaniej dalszy jej ciąg nie został dopisany przez Roberta Olaka („Kurier Lubelski” z dnia 9 lipca 1999 roku) pod z lekka sensacyjnym tytułem *Krata niezgody*. Okazało się mianowicie, że właściciel domu zabezpieczył wyremontowaną przez siebie jego część zmyślną konstrukcją, oddzielającą go od chylącej się ku ruinie części zajmowanej przez stałych i przygodnych lokatorów. Owa „lokatorska” część, zaniedbana i w znacznym stopniu dewastowana przez czas i użytkowników, domaga się gruntownych remontów. Ten właśnie stan wydaje się być przyczyną drastycznych działań pana Telengi. Dom, nie doprowadzony do stanu pełnej użyteczności, stanie się w nieodległym czasie zwykłą ruiną w centrum miasta, do którego dziś należy chyba zaliczyć ulicę Bernardyńską.

„Lublin” po Lublinie

Nazywają to przeżyciem z pogranicza śmierci. Podobno wchłania ich zielony tunel, obejmuje oślepiająca jasność, ogarnia ogromna szczęśliwość bezbolesności, lewitują. Podejrzewam, że zieloność sali operacyjnej i ubiorów zespołu skupionego wokół nich zlewa się z jasnością lamp bezcieniowych. Łaska narkozy unosi ich ponad powierzchnię cierpienia. Nie wiem, ale mimo to sięgam do ich przeżyć, czy może ściślej do ich odbioru tych swoich szczególnych, ekstremalnych stanów, aby móc porównać z nimi stan, w jakim znalazłam się w nieokreślonej chwili po skoku z mojej osobistej Skały Tarpejskiej, która w tym przypadku nazywała się „Lublin”.

Na pograniczu nowego życia nie czekała mnie żadna zieloność nadziei, ani jasność wychodząca naprzeciw. Nie odczuwałam też żadnych działań uśmierzających ból. Znalazłam się w tunelu mrocznym wielością rzeczy niezrozumiałych. Ściany tej ciasnej przestrzeni wydawały się napierać na mnie z nieustępliwą, dławiącą natarczywością. Upływający czas przesunął mnie poprzez kolejność zdarzeń zaplanowanych i postanowionych poza moją świadomością, w moim całkowitym ubezwłasnowolnieniu.

Nie potrafię określić czasu mojego przebywania w ciemnościach. Zrozumienie otaczającego substratu przenikało przez nie stopniowo, powoli i nierównomiernie. Ściany hipotetycznego tunelu rozstępowały się niepostrzeżenie i nie do końca, albo przechodziły z rzeczywistości w głąb mojej pamięci, aby pozostać w niej trwałym śladem.

Przez pierwsze siedem lat pobytu w obcym kraju posługiwałam się „dokumentem podróży” przeznaczonym dla osób bez żadnej przynależności państwowej. Opiewał on „Na wszystkie kraje poza Polską”.

Władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zezwoliły mi na odwiedzenie kraju po raz pierwszy w siedemnaście lat po owym karkołomnym

skoku z „Lublina”. Do Lublina przyciągał mnie jedynie grób mojej matki. Wszystko inne odpychało mnie. Żywa była jeszcze we mnie pamięć złych lat, miesięcy, dni i minut w tym mieście. To tam historia, która oszczędziła mnie w porze okupacyjnego terroru, dopadła mnie i chwyciła za gardło w ćwierć wieku później. Nie chciałam widzieć miejsc, ani osób.

Odwiedzałam różne inne miejsca i różne zaprzyjaźnione domy, poza Lublinem. W tym też czasie zaczęłam pisać historię trzech okresów mojego życia w Lublinie. Nie potrafię określić z całą pewnością, jakie uczucia powodowały mną przy podejmowaniu tego zamierzenia. Nie był to zwykły, nawiedzający mnie niekiedy, przypływ grafomanii, bo jej wcześniejsze objawy przyniosły mi zbyt wiele przykrości, kłopotów, strat oraz przysporzyły osób niechętnych. Nie wykluczone, że tkwiła w tym początkowo chęć odwetu, zwykłego „odgryzienia się” za doznane upokorzenia i krzywdy. Może czułam potrzebę nazwania zdarzeń ich właściwym imieniem, wypunktowania współautorów i reżyserów mojej osobistej katastrofy i tych – najliczniejszych – z widowni, obojętnych lub asekuranckich. W miarę pisania, a więc przeżywania po raz wtóry poszczególnych momentów lubelskich zdarzeń, uświadamiałam sobie, że tak prymitywne intencje nie byłyby na poziomie przeżywanych faktów. O cóż mi więc chodziło? Chciałam czegoś znacznie większego i ludziłam się, że zdołam, bodaj w jakimś stopniu, to osiągnąć. Chciałam dotrzeć do świadomości, którą można też nazwać sumieniem, tych, którzy uczestniczyli, indywidualnie lub zespołowo, w wieloczasowym procesie unicestwiania mnie. Ostatnie zdanie mojej lubelskiej historii przeszłej brzmiało:

– Opuściłam Lublin, aby nigdy już do niego nie powrócić.

W związku z przedłużającym się procesem wydawniczym książki zaczęłam jednak bywać w Lublinie. Były to krótkie pobyty, w oparciu o gościnne domy dawnych znajomych. Za pierwszym moim przyjazdem zatrzymałam się w Lublinie tylko kilkanaście godzin i przenocowałam u dawnej administratorki wspóldomu przy ul. Ogrodowej, gdzie kiedyś mieszkałam. Nikt nie wydawał mi się bardziej odległy od środowiska, z którym nie chciałam mieć bodaj przypadkowej styczności. W dodatku mieszkała samotnie w zacisznym domku przy najodleglejszej bocznicy ul. Głowackiego. Okazała się aż nadgorliwie

gościnna, niemal przepraszająco, choć nie było przecież jakiegokolwiek jej winy w mojej życiowej katastrofie.

Kilkakrotnie, łatwo, może nawet zbyt łatwo ulegając ponawianym zaproszeniom pani, o której napisałam kiedyś, że „promieniem słonecznym” wchodziła do mego domu, korzystałam z gościny w jej mieszkaniu na LSM. Osobę tę długo znałam z widzenia, bo trudno było jej nie zauważać, tak bardzo wypełniała sobą, swoją urodą i temperamentem, każde miejsce, w którym się zjawiała. Poznałam ją osobiście na przyjęciu imieninowym jednego z profesorów UMCS i pewien rodzaj zażyłości rozwinął się pomiędzy nami, być może na gruncie jakiegoś pokrewieństwa w poczuciu humoru. Świadomość jej pośrednich związków z nieprzyjaznym mi środowiskiem uczelnianym, a także tego, że osoba ta bywa równie twarda, bezwzględna i cyniczna, jak jest serdeczna, gościnna i sympatyczna, burzyła się we mnie przeciwko korzystaniu z tej gościny. Byłam jednak człowiekiem bezdomnym i ten dom, zagospodarowany, ciepły, pulsujący życiem przyciągał mnie. Wieloma momentami przypominał mi dom mojego dzieciństwa: szafa babci podobna do szafy mojej babci... stary kredens... wielka patelnia w kuchni... konfitury z wiśni według tej samej recepty... wiele szczegółów mało na pozór istotnych. W porze letniej – śniadania na balkonie, z zielonością i bielą LSM-u pod nami. Przymykałam oczy i czułam coś nieokreślonego, jak gdyby żal, że nie mogę **być** w tych miejscach. Tylko przez chwilę...

W późniejszych latach niejednokrotnie korzystałam z miłej, bezpośredniej gościnności koleżanki, byłej asystentki prof. Voita, która przez wiele lat i aż do śmierci mojej matki opiekowała się jej zdrowiem. A i ja, bardzo nieskora do „leczenia się”, jako procesu ciągłego, korzystałam z jej pomocy, jak np. w żółtaczkę zakaźnej, kiedy już wydałam się sobie samej zbyt żółta i wskazany był transport do kliniki. Dawniej była naszą sąsiadką w domu przy ul. Ogrodowej, skąd przeniosła się do nowo wybudowanego bloku „lekarskiego” przy ul. Hempła. Serdecznie wspominam pobyty w jej domu i zachowuję jej osobę w swojej trwałej pamięci.

Najbliższy mojemu sercu był zawsze dom moich przyjaciół z czasów okupacji i naszej wspólnej młodości. Z samym mieszkaniem ich, w domu przy ul. Rybnej 4, łączyło mnie wiele wspomnień pochodzących z różnych okresów mojego życia w Lublinie. Gdy byłam

w nim po raz pierwszy, zimą 1945 roku, było ono jednym ogromnym pokojem o bardzo grubych i wysokich ścianach, oświetlonym dwiema kulami lamp pod samym sufitem. Zajmowała go wdowa po jednym ze współwłaścicieli domu, adwokacie Bachu. Moja wizyta miała na celu poznanie bywającej u niej pani, o niezwykłym – jak mówiono – darze telepatycznym. Spotkanie to nie było pozbawione pewnego dreszczyka niesamowitości. Już sama nie oświetlona ulica Rybna, mroczna głębia bramy, skrzypiące i nieco chybotliwe schody wprowadzały w szczególnie nastrój. „Wróżbitka” sprawiała również dość dziwne wrażenie, choć i dziś jeszcze nie umiałabym określić, na czym polegała ta fascynacja. Towarzysko zgodziła się „spojrzeć” w moją przyszłość, ale rzuciwszy okiem na wnętrze mojej lewej dłoni, oświadczyła głosem dość teatralnym, że niczego nie może mi powiedzieć. W tym momencie zgasły lampy... Był to oczywiście przypadek, nierzadki w tym okresie. Elektryczność „wysiadła” raz po raz. Ale w danym momencie poczułam lekki dreszcz nieokreślonego lęku.

W latach 1947–1949 bardzo często odwiedzałam w tym mieszkaniu moją serdeczną przyjaciółkę, koleżankę z lat pracy w Zarządzie Gminy Mełgiew oraz jej męża, który z upoważnienia Bachowej administrował domem. Prowizorycznie przedzielili pokój parawanem, który następnie zastąpiła kotara. Zainstalowali prymitywną kuchenkę, postawiali skromne meblowanie i tam właśnie przeżywali pierwszy okres swego małżeństwa. Niestety, nie układało się ono zbyt pomyślnie i aby je ratować, w 1951 roku przenieśli się z Lublina do miejsca, które zapewniało im lepsze warunki zarobkowe i mieszkaniowe. Mieszkanie przejęła młodsza siostra mojej przyjaciółki, wtedy już zamężna za swoim wieloletnim adoratorem, a naszym wspólnym kolegą. Ich dom stał się z czasem moją ostoją we wszystkich późniejszych, trudnych i tragicznych momentach mojego lubelskiego bytowania.

W porze powracających szykan ze strony Rady Wydziału, czy poszczególnych indywiduów spoza jej grona, w okresach trudności i konfliktów w życiu osobistym, w dniach po śmierci mojej matki, w strasznych miesiącach przed opuszczeniem kraju, tylko w ich domu znajdowałam chwile spokoju i wytchnienia.

We wspólnym, podziwu godnym wysiłku zdołali z upływem lat przekształcić zajmowany lokal na przytulne dwupokojowe mieszkanie z oddzielną kuchnią i łazienką.

W tym domu czułam się zawsze swojsko i bezpiecznie. Żadnych zafałszowań, błag ani ceremonii między nami. Kiedy zaś sprawy rodzinne chwilowo uniemożliwiły moje pobyty na Rybnej, „przekazano” mnie, niejako spadkiem, młodszemu pokoleniu – do równie miłego domu córki moich przyjaciół, na Czubach. Poznałam jeszcze jedną, dotychczas mi nie znaną, dzielnicę nowego Lublina.

Książka ukazała się w 1991 roku nakładem efemerycznego wydawnictwa „Panta” pt. *Trzy razy Lublin*. Bardzo różnie została przyjęta przez lubelskich czytelników. Byli tacy, którzy uznali się za nieciekawie pomówionych, i inni, którzy pozytywnie ocenili całość i nagą prawdę przedstawionych zdarzeń. Pomiędzy tymi skrajnościami było wiele, mniej lub więcej zaangażowanych, głosów krytycznych. O ile wiem, ale tego nigdy nie wie się na pewno, nikt nie „uderzył się w piersi”...

Z czasem miało się okazać, że moje rozliczenie z lubelską przeszłością wywarło największy wpływ na mnie samą i na mój stosunek do Lublina. Pisząc, w miarę powtórnego przeżywania zdarzeń sprzed ćwierćwiecza, zgoła o tym nie wiedząc, wyzwalalam się z nich. Sprawy bolesne, wypowiedziane do końca, traciły swoją moc nade mną. Zacierają się kontury zdarzeń i ostrość mojego ich widzenia. Wracały do pokładów pamięci głębszych niż te, z których dotąd powracały, aby nachodzić i nękać mnie latami.

Wbrew dawnej pewności („...ale tego nigdy nie wie się na pewno...”), wracałam do Lublina jeszcze wielokrotnie, a jeśli nawet unikałam pewnych miejsc i osób, to w innych spotkałam wiele krzepiącej życzliwości i przyjaźni. W dwadzieścia osiem lat po skoku z „Lublina” stałam się znów mieszkanką tego miasta.

Chodząc po ulicach dzisiejszego Lublina, na każdym niemal kroku ulegam zdziwieniu. Można powiedzieć, że stałam się podmiotem zdarzeń dziwnych. Najwcześniej zaczęły one objawiać się na cmentarzu przy ul. Lipowej, dobrze mi znanym od czasów szkolnych. Nie odnajduję starych, szacownych nagrobków. Można to wprawdzie zrozumieć, zakładając wygasanie rodzin, zanikające ślady pamięci, kruchliwość kamieni.

Głębszych zdziwień dostarczają płyty nagrobne, położone w czasie mojej nieobecności w Lublinie. Zatrzymuję się przed znajomym naz-

wiskiem. Daty na lastrykowej płycie podają liczbę przeżytych lat. Myślę: – To przecież niemożliwe... był znacznie młodszy ode mnie... nie mógł mieć tylu lat... – i widzę tego człowieka najwyżej czterdziestoletnim, ruchliwym, przedsiębiorczym... może trochę zarozumiałym... tak jakby to było wczoraj.

Nieporozumienie, jeśli już tak to określać, powtarza się wielokrotnie.

– Na co ona umarła? – pytam przy innym znajomym grobie towarzyszącą mi koleżankę.

– 85 lat... – słyszę w odpowiedzi. Wydaje mi się to zaskakujące, bo znów przypominam sobie przystojną i skora do wesołości panią, w swoim najlepszym średnim wieku... Wczoraj?

Podobnych wrażeń doznaję czasem przed klepsydrami na murze kościoła O.O. Kapucynów. Pytam samą siebie, czy to możliwe i czy „wczoraj” było rzeczywiście tak dawno temu?

Zdarzały się i inne przypadki. Tak więc spytałam kiedyś wnuczkę moich przyjaciół, czy w jej szkole uczy nadal pani Ł., która w rzeczywistości była nauczycielką ich córki. Pomyliłam się o jedno pokolenie.

Niedawno, idąc ulicą Radziwiłłowską, zauważyłam baczenie przyglądającą mi się starszą panią o bardzo miłej aparycji. Wydała mi się znajoma, ale nie potrafiłam jej zidentyfikować w swojej pamięci. Dopiero po kilku godzinach uświadomiłam sobie, kto to mógł być i postanowiłam telefonicznie przeprosić za to „niepoznanie”. Następnego przedpołudnia zadzwoniłam pod numer odnaleziony w książce telefonicznej. Wywiązała się następująca rozmowa:

- Czy zastałam panią docent?
- Pani profesor jest w szpitalu.
- Kiedy mogłabym zastać?
- Dziś ma dyżur w szpitalu.

Przeprosiłam więc, nic z tego nie rozumiejąc. Pani, którą wydaje mi się, że spotkałam, mogła oczywiście w czasie moich lat poza Lublinem zostać profesorem, ale nie była lekarzem, więc skąd dyżur w szpitalu? A w ogóle to od kiedy profesorowie dyżurują? W dodatku w wieku emerytalnym? Coś tu mi się nie zgadzało. W końcu przypomniałam sobie, że w porze mojego opuszczania Lublina córka pani docent była już po dyplomie lekarskim. Może więc to córka zdążyła

w międzyczasie zostać profesorem? Zagadka pozostała nie rozwiązana.

W lubelskim skansenie znajoma, która mnie po nim oprowadzała i dzieliła mój entuzjazm, spotkała dwie staruszki, z którymi przystała na chwilę rozmowy. Obie stare panie, przygarbione wiekiem i wspierające się na laseczkach, wydały mi się całkowicie nieznajome. Okazało się, że jedna z nich była moją koleżanką szkolną.

– Janeczka? – upewniałam się z niedowierzaniem, ze szczerym ^{ym} zdziwieniem. Znów rodziło się we mnie pytanie: „jak to jest możliwe?”, bo w mojej pamięci ta osoba była przynajmniej o trzydzieści lat młodsza...

Zdarzyło mi się też spotkać na Poczcie (zawsze tej samej) panią, w której wydało mi się rozpoznawać matkę mojej koleżanki. Pamiętałam z czasów szkolnych, jak bardzo były do siebie podobne. Odróżniała je właściwie tylko ogromna tusza matki. Trzeba było dłuższej chwili, abym zdała sobie sprawę z tego, że matka koleżanki z pewnością nie żyje już od dawna, a jej otyłość dziedzictwem przeszła na córkę. To spotkanie nieco mnie spłoszyło, bo i ona mnie nie poznała... przypuszczalnie.

Własnej starości nie jest się przecież przedstawionym w tak szokujący sposób. Ona nie **jest**, lecz staje się, dając nam okazję, a nawet konieczność przyzwyczajania się do zachodzących zmian.

W jakiś paradoksalny sposób czuję się młodsza o czas mojego życia poza Lublinem.

Chodzę więc od nowa po tym zognomiałym, tętniącym życiem Lublinie, który nigdy nie był miastem w moim sercu, a stał się miejscem mojego nowego czasu teraźniejszego. Może wydać się właśnie paradoksem, że chodzę po tym mieście z uczuciem wielkiej, wypełniającej mnie radości.

Spis treści

„Lublin” przed Lublinem	5
Dom pod nr 9	20
„Lublin” po Lublinie	62



**Przedsiębiorstwo Budownictwa
Specjalistycznego „Pate” Sp. z o.o.**

z siedzibą główną w Lublinie, ale o działalności znacznie wykraczającej poza granice Lubelszczyzny, już w początkowym okresie swego kilkunastoletniego istnienia zwróciło na siebie uwagę wysokim poziomem wykonywanych prac. Dotyczyło to w głównym stopniu przedsięwzięć o charakterze instalacyjnym i remontowym, a także adaptacji i aranżacji wnętrz oraz kapitalnych remontów dużych obiektów architektonicznych – również takich, które wymagały od wykonawców wysokiego stopnia specjalizacji, a często podlegały ochronie konserwatorskiej.

W latach 1987–1999 Przedsiębiorstwo Budownictwa Specjalistycznego „Pate” wykonało m.in. prace związane z zabezpieczeniem słynnego XII-wiecznego Opactwa Cystersów w Wąchocku oraz wieży w Janowcu nad Wisłą, od dawna wymagającej takich działań. Rozległe rekonstrukcje i remonty obiektów zabytkowych przeprowadzono również w Rzeszowie. Dotyczyły one tamtejszego Ratusza i gmachu Sądu Wojewódzkiego. Aktualnie prowadzone są prace nad nadaniem blasku pomieszczeniom Pałacu Lubomirskich w Lublinie, na zlecenie i dla potrzeb Wydziału Politologii Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej.

Do przedsięwzięć o nieco mniejszym wymiarze, ale niewątpliwym znaczeniu dla miasta, należą remonty szeregu obiektów o charakterze użytkowym. Są to adaptacje i aranżacje lokali bankowych w Lublinie, Przemyślu i Tarnobrzegu. Ich nowa aparycja przybliża je do standardów europejskich. Dotyczy to również lokali sklepowych w ponad stuletnich domach usytuowanych przy głównej arterii Lublina – Krakowskim Przedmieściu.

Wspominając prace inwestycyjne, rekonstrukcyjne i konserwatorskie warto podkreślić także działalność charytatywną i promocyjną firmy „Pate”. Wyrazem tej ostatniej jest miła współpraca w zakresie udostępnienia lublinianom niniejszej skromnej książeczki o Lublinie.